№ 5. Warszawa, dnia 18 (30) Stycznia 1875 roku.



I POWIEŚCI,

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

SŁÓW KILKA W NAJWAŻNIEJSZEJ KWESTYI.

(Dokończenie).

W Niemczech najprostszy wyrobnik umie tylko czytać, a jakże tam wszystko inaczej jak u nas. Tam u niego znajdziesz porządki i czystość, ubranie i pożywienie nieznane nawet u nas klasie odpowiedniej: tam on w szynku nie upija się ale krzepi po pracy, jeżeli zaś chce zabawić się, to czyta gazetę lub śpiewa zbiorowo bo w szkółce nauczono go tego. Szanując co cudze, pojęcie to zaszczepia i w dzieci. W Rejchenhallu zaraz za rzeką Salą więc już za miastem stoi gruszka obsypana cała owocem; w miasteczku tem i w okolicy prawie nie ma owoców, sprowadzane zaś z dalszej okolicy w cenie nie są przystępne dla biedniejszych, mimo tego gruszki tej choć samotnej, nie strzeżonej przez nikogo, choć dość ręką sięgnąć aby dostać owocu, nikt się nie dotknie nawet w nocy mogącej bezkarnie pokryć jego przestępstwo, nawet z obcych przechodniów pieszo ze stron dalszych odbywających wędrówki. Nie daleko od niej mieści się wielki skład drzewa sążniowego, którego tysiące sążni stoją ustawione wielkiemi szeregami a setki leży na ziemi bez ładu i składu czekając ułożenia. Drzewo to nie ma ani oparkanienia, ani zamknięcia, ani stróża czujnego, mimo tego choć na uboczu i niejako w pustkowiu, nie zginie z niego nawet szczapa jedna, nikt z niej żadnej nawet nie poruszy. Dolina cała otaczająca miasteczko urządzona jest jak park i ogród zarazem przepyszny; pełno w niej kwiatów, mostków, ławeczek, baryerek, ozdób różnego rodzaju, wszystko to stoi otworem dla wszystkich tak w dzień jak w nocy, i żadnej nigdy nie zna szkody, bo je strzeże nie zakaz, nie zamknięcie lub policyant, ale jasne pojęcie, że owoc na drzewie, drzewo na ziemi to własność cudza a więc święta, że szkoda w publicznem mieniu zrządzona, jest szkodą samemu sobie zrobioną, że wreszcie zamach na cudzą lub publiczną własność to przestępstwo nawet zbrodnia hańbę i karę sprowadzająca.

Pojęcie to zaszczepiła jedynie w masie całego ludu oświata nie wyższa szkolna lub uniwersytecka, ale ze szkółek powstała i z czytania książek odpowiednich. Zasób ztąd odziedziczony prawd moralnych i dobrego zrozumienia własnego interesu przez jedno pokolenie w słowie poczciwem i w przykładzie dobrym spada na drugie; to znów je rozszerza, pomnaża i znów przekazuje następnemu i tak idzie w spadku przez lata i wieki usuwając wszystko co tylko dobru ogólnemu zawadza. Gdyby ktoś nie chciał przypisać powstania stanu tego szkółkom i książkom dobrym, tylko łagodniejszej i rozstropniejszej naturze ludu samego, ten byłby w błędzie.

Historya naucza nas, że w takiej choćby Bawaryi w której leży Reichenhall, stan rzeczy był zupełnie inny. I tam były kradzieże, rozboje, pijaństwo, próżniactwo, nieszanowanie publicznej własności, brak wszelkiej moralności, a jednak wszystko zmieniło się na dobre. Cóż sprawiło ten cud tak pożądany w porządku publicznym?

Nic innego tylko umiejętność czytania i książki dobrze napisane. Dać to ciemnym naszym tłumom w naszej jest mocy. Stypendya choćby najliczniejsze choćby setkami mnożone corocznie dla szkół wyższych i uniwersytetów, mogą trwać wieki a stan społeczny nie zmieni się, tylko jedynie za pomocą czytania książek ogólnie upowszechnionych. Bogactwo rzeczywiste i trwałe szczególniej całych społeczeństw, nie powstaje z wysiłków cząstkowych uwieńczonych pomyślnością, nie zrzucania się kapitałów w wielkie przedsiewzięcia, nie z powstawania banków kredytowych, nie ze wspierania wyższej nauki, ale z pracy zdobywającej wiedzę dla całej społeczności, z wiedzy tworzącej coraz umiejętniejszą pracę, i przez wiedzę i pracę mnożącej się moralności.

Jest to droga długa i mozolna, ale nie ma innej, pójść więc nią i jej się pilnować wytrwale i chętnie to wspólny nas wszystkich obowiązek. Zdobycze na niej osiągnięte, będą najpiękniejszem dziedzictwem przekazanem następnemu pokoleniu, bo wiedza, praca i moralność to czynniki niespożytej potęgi, i przez każde pokolenie układane niejako warstwami na cały ogół społeczny, wykorzenia wszystko złe w nim zagnieżdżone a na jakie tak słusznie choć daremnie narzekamy.

J. K. Gregorowicz.

STRACONY,

(Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA).

NOWELLA

Elizy Orzeszkowej.

(Dokończenie).

— Czy potrzebowałeś mię widzieć? zapytałem.

Zmięszał się trochę i odpowiedział niepewnym głosem.

— To jest tak... nie potrzebowałem ale chciałem...

— Powiedz mi, rzekłem, co to takiego robiłeś przed chwilą?

— Nosiłem kamienie, odpowiedział.

— Widziałem, ale po co ci było to czynić?

— Ach! proszę pana, rzekł, tak mię tu (wskazał na piersi) paliło coś i spokojności nie dawało że nie mogłem wytrzymać... Zmęczyłem się też porządnie, dodał oddychając głęboko, i teraz mi lepiej.

Weszliśmy do parlatoryum.

—Czy pan wiesz że przyznałem się do wszystkiego przed prokuratorem? zaczął pierwszy.

— Wiem, odparłem, i chciałbym bardzo wiedzieć co cię skłoniło do tego.

— Ot tak; nic. Po rozmowie z panem wstyd mi się jakoś zrobiło że kłamałem dotąd i chciałem abyś pan o mnie choć trochę lepiej myślał.

Mówił to smutnym głosem i ze spuszczonemi oczami. Nagle podniósł głowę i machnął ręką.

— At! zawołał, niech mię diabli wezmą jeżeli wiem jaki z pana człowiek! Rozmawiałem z panem godzinę i kocham pana więcej jak rodzonego Ojca. Ach panie! dodał nagle zupełnie zmienionym głosem i składając ręce jak do pacierza, gdybym to ja mógł być takim jak pan człowiekiem!

Gdy wymawiał ostatnie słowa rumieniec zapału napłynął znowu do pobladłych już policzków, oczy jego błysnęły niezmiernem pragnieniem i pierś podniosła się wysoko i szybko.

— Jakimże to właściwie człowiekiem chciałbyś być? zapytałem z uśmiechem pokrywając wzruszenie które mię ogarniało.

— Chciałbym, rzekł, tak jak pan chodzić po więzieniach i po różnych innych smutnych miejscach, pocieszać i bronić nieszczęśliwych!

Uśmiechnąłem się tym razem szczerze. Młody więzień tworzył sobie o mnie dziwaczne nieco pojęcie, nadając widocznie w wyobraźni swej zajęciom moim jakieś fantastyczne rycerskie barwy. A przecież naiwne jego słowa nie były może zbłąkanem echem jakiem odzywał się w nim głos powołania, wrodzonych mu skłonności i popędów?

Usiadłem na ławie i wyjąłem z kieszeni podarek panny Jadwigi.

— Siostra twoja panna Jadwiga przesyła ci te pieniądze, rzekłem.

— Siostra moja! zawołał, Jadwisia! czy pan ją widziałeś?

Zawahałem się z odpowiedzią. Wpatrzył się we mnie swemi bystremi szaremi oczami i po chwili milczenia rzekł stanowczym głosem.

— Pan jeździłeś do Kalinowa... widziałeś moich rodziców i prosiłeś ich o coś dla mnie...

Milczałem, on usiadł na stołku, oparł brodę na dłoni i mówił dalej.

— Widzisz pan że zgadłem. Dziękuję panu. Jesteś pan bardzo dobry.. chciałbym bardzo być takim człowiekiem jak pan. Nieprawdaż panie że Kalinów bardzo nudny? Ojca spotkałeś pan pewno wyjeżdżającego albo wracającego z polowania, Mamy nie było w domu a jeżeli była, to Femcia kłóciła się z Julkiem, nie prawdaż? Dla mnie nic nie chcieli zrobić... Wiem o tem doskonale mniejsza o to, przyznałem się i jest już teraz po wszystkiem. Zresztą, dodał, nic to dziwnego że oni gniewają się na mnie, byłem zawsze wielkim szubrawcem a teraz wstydzić się mnie muszą...

Nie mam do nich żadnej pretensyi i chciałbym aby mię nie bardzo źle wspominali...

— Czy wiesz pan, zawołał po chwili milczenia, że chciałbym jeszcze raz w życiu posłyszeć jak Julek sprzecza się z Femcią, jak Jadwisia dudni gammy na fortepianie i jak dojeżdżacze Ojca grają na trąbach...

Widziałem jak rozmowa o rodzinnym domu jakkolwiek był on nieponętnym, poruszała w nim zwolna strunę tęsknoty. Czoło jego mroczyło się a oczy nabierały głębi i przejrzystości.

Chciałbym, rzekł, raz jeszcze w życiu widzieć starą Maryannę. Pan nie wiesz kto to taki stara Maryanna? Jest to moja dawniejsza niańka, bardzo dobra i poczciwa kobieta, która strasznie pieściła mię gdym był mały. Czy wiesz pan że miałem już lat 14 i 15-cie a jeszcze chodziłem do Maryanny która zamieszkała na wsi w chacie córki i lubiłem słuchać jak śpiewała stare piosenki i opowiadała wnukom swoim te same bajki, które mówiła kiedyś mnie gdym był mały. Ma ona proszę pana takie pomarszczone czoło, ale brzydka nie jest tylko jest bardzo stara i w przeszłym roku o kiju zaczęła chodzić... Gdybym był nie popadł w taką biedę, dodał, zbudowałbym kiedyś Maryannie piękny domek, a córce jej darował kawał pola.

Mimowiedzy jak głowa jego pochylała się i opadała na dłoń, czułem gorąco jego oddechu gdy znowu mówić zaczął.

— Chciałbym także bardzo zobaczyć jeszcze choć raz w życiu pewne miejsce w lesie, które bardzo lubiłem dopóty, dopóki mi cały świat nie zbrzydł. Jest to proszę pana brzozowe zarośle nizko położone i trochę wilgotne, ale mi wilgoć nigdy nie szkodziła.

Trawa tam za to taka zielona jak nigdzie a pomiędzy krzakami jest maleńki stawek. Jak tylko zacząłem czuć żem nieszczęśliwy, zacząłem chodzić w to miejsce, z rana mianowicie kiedy w domu wszyscy jeszcze spali, wstanę bywało, pójdę tam i siedzę nad stawem godzinę a'bo dwie. Szczególniej proszę pana kiedy słońce wschodziło było tam bardzo pięknie. I brzozy i woda były różowe, jaskółki latały nad stawem a w krzakach ptastwo tak krzyczało, że je chyba aż w niebie słychać było. Chciałbym tam jeszcze być kiedy...

Milczał chwilę potem mówił jeszcze.

I Jadwisię chciałbym raz jeszcze w życiu widzieć, dobra to dziewczyna. Jak byliśmy dziećmi graliśmy razem w konie, ale największa już była dla nas radość kiedy frukta dojrzały w ogrodzie. Wtedy bywało ja wlazę na drzewo, zrywam dojrzałe gruszki i rzucam a ona chwyta je w fartuszek. Daj Boże jej szczęście! choć nie spodziewam się aby go miała wiele. Ona panie taka czuła byle co zaraz już płacze, biedna Jadwisia! chciałbym ją jeszcze widzieć kiedy!

Kiedy domawiał ostatnie wyrazy, zobaczyłem wielką kroplę spadającą na chropowaty stół więzienny.

On nie spostrzegł nawet że z oka jego spadła łza.

- Julek żeni się podobno, mówił dalej, dowiedziałem się o tem od jednego człowieka z naszej okolicy, który służył u nas kiedyś a teraz tu przyprowadzonym został. On zawsze marzył o tem aby bogato ożenić się.

— Toż to dopiero będzie chuczne wesele a przenosiny jeszcze chuczniejsze Rodzice mu wyprawią. Będą grać, tańczyć, cieszyć się...o!

Podniósł rękę do serca jakby go tam coś nagle ukłuło.

— O! powtórzył i zerwał się z krzesła.

Wyglądał w tej chwili strasznie. Twarz jego powlekła się kredową bladością, oczy zapałały posępnie, wargi drgały. Śmiertelna tęsknota, głuchy gniew, rozrywająca żałość zdawały się wybuchać z każdej fibry jego ciała. Tak! zawołał, będą żenić się, grać, tańczyć, cieszyć się... wszyscy, wszyscy wolni..... szczęśliwi a ja... ja...

Głęboki jęk czy łkanie łez pozbawione zatrzęsło nim od stóp do głowy, zarazem drżące nerwowo ręce podniósł do piersi i jednem szarpnięciem rozdarł na kilka części okrywającą mu pierś bieliznę, potem upadł na krzesło, ukrył twarz w dłoniach i siedział nieruchomy. Kiedy po chwili podniósł głowę i spojrzeniem spotkał się z moim wzrokiem, ujrzałem w oczach jego wyraz wstydu i prośby. Nie gniewaj się pan, rzekł ścicha, nie mogłem wstrzymać się... nigdy już nie uczynię tego ..

Chciałem przysunąć się ku niemu i uczyniłem małe poruszenie. Myślał że chcę odchodzić.

— O, nie odchodź pan tylko, nie odchodź! rzekł przytrzymując mię za rękaw od ubrania. Nie będę już nic mówił, ale chcę słuchać pana długo... długo...

O czemże mówić mu mogłem? miałżem według uświęconego w podobnych wypadkach i położeniach obyczaju, wysławiać zasługę i uroki cnoty, przed nim którego odtąd jedyną cnotą miało być prawdopodobnie bierne posłuszeństwo, przymusowa, pod groźbą i przez obawę chłosty spełniana praca? Miałżem z prawideł i zasad moralnych tworzyć nabożny traktat dla człowieka. którego wyrok prawa pozbawiając na zawsze wolnej woli, oswobodzał od osobistej odpowiedzialności, bez której moralność czczem tylko jest słowem? Nauczać go cnót których dopełnianie nigdy już w mocy jego leżeć nie miało, prawić o tem jak czynić i żyć powinien wtedy, gdy on nad życiem i czynami swemi nigdy już prawa samorządu odzyskać nie miał, byłoby robotą bezowocną, bezużytecznem dręczeniem ducha jego, przez ukazywanie mu wielkich sił i pięknych obrazów, których zdobycie i doścignięcie było mu o tyle możebnem, o ile pląsy taneczne możebnemi są dla biedaka na zawsze już paraliżem przykutego do łoża cierpień. A jednak miał on tylko lat 19! Nie przeliczone skarby uczuć i myśli drzemały w kipiącej jego piersi, w bystrym i pojętnym jego umyśle. Nie zużyte siły żywotne bujnej sprężystej i gorącej jego organizacyi, szukając dla siebie ujścia szamotały nim dotąd jak wicher wiotkie gałęzie drzewa, ale któż mógł zaprzeczyć na pewno, że kochającą i umiejętną dłonią na prawidłowy szlak skierowane, nie mogły one popłynąć pięknym, szerokim, potężnym dobroczynnym strumieniem? W gorętszej jak u wielu innych krwi jego, w drażliwej na zewnętrzne dotknięcia tkance nerwowej, wrzało źródło tych namiętności które uczyniły zeń wielkiego winowajcę, lecz czyliż namiętności będące zuzlami wzniecającemi niszczące pożary i bezrozumne szały, nie są także iskrą z której pod wpływem przyjaznego podmuchu, powstaje twórczy zapał, wielka miłość i bohaterska ofiara? W niejasnej, chaotycznej, nie wyrobionej i starganej istocie jego, leżała głęboka i drgała od czasu do czasu tajemna dla niego samego struna poetyczności. Ona to rozkazywała mu godzinami całemi przesiadywać nad brzegiem stawu, którego powierzchnię z różowioną przez jutrzenkę muskały lotne skrzydła jaskółek, lub pod ścianami brudnego miasteczka padać twarzą o ziemię i płakać gorzko, długo bez zrozumienia i świadomości przyczyny łez własnych. Była to w nim dotąd struna jałowa, nie wyraźne lub fałszywe dzwięki wydająca, ale jakiż prorok lub psycholog zaręczyć śmiałby na pewno, że gdyby dobroczynna wiedza naciągnęła ją do właściwej skali, a piękne jakieś uczucie uderzyło w nią potężną dłonią, nie zabrzmiałaby wspaniałym jakim hymnem, nie wygrała by światu wysokiej, szerokiej pieśni, lub czynu? Teraz, wszystko to było straconem na zawsze. A jednak ten piękny, silny chłopak stracony dla społeczeństwa i dla wszystkiego co na świecie było pięknem, dobrem i szczęśliwem miał tylko lat 19.

Pod wpływem podobnych myśli i uczuć zostając, w chmurne, smutne, zimowe południe wstępowałem na wschody gmachu, w którym za chwilę odbyć się miało rozstrzygające los młodego więźnia posiedzenie sądowe.

Sala przeznaczona dla oczekującej rozpoczęcia się sądów publiczności, natłoczona była ludźmi, pomiędzy którymi najwięcej dawało się dostrzegać osób pochodzących z wyższej towarzyskiej sfery. Spostrzegłem w tłumie kilkunastu obywateli wiejskich, kobiety zeszły się też tym razem liczniej jak zwykle.

Znać sprawa którą dziś rozstrzygać miano głośną była w mieście i okolicy, młodość, imię i rodzaj występku obwinionego robzudziły zajęcie. Nie trzymałem w ręku żadnego papieru. Nie potrzebowałem układać na papierze dzisiejszej mowy mej, miałem ją bowiem całą wypisaną w głowie i sercu.

Gdy wszedłem do sali znajomi otoczyli mię.

— Jakiej sprawy bronić dziś będziesz? pytano.

— A! tego łotrzyka który to taki wstyd przyniósł poczciwym, zacnym swym rodzicom!

— I proszę tu powiedzieć! zkąd się to podobne indywiduum wziąść mogło w naszem obywatelstwie!

— Musisz pan znać obwinionego? Czy przystojny? pytały damy.

— Znam jego brata, pana Julijana, mówiła jedna z dam, taki śliczny, dobrze wychowany człowiek. Jakie to czasem sprzeczności zdarzają się w rodzeństwie. Jeden brat wyrośnie na najporządniejszego człowieka, a drugi...

— Czy to prawda panie, zawołał mi nad uchem sopranowy niewieści głosik, że ten zbójca popełnił już przedtem dwa zabójstwa i dziesięć kradzieży?

— Słyszałem panie dobrodzieju, tubalnym głosem prawił szpakowaty i pucołowaty obywatel, że pani Kalińska rozchorowała się śmiertelnie z desperacyi.

— Tak, tak! zawołał ktoś inny i żartobliwie nieco dodał, słyszałem także że Maurycy od tygodnia już ani razu nie polował!...

Nad gwarem głosów tych i szmerem licznych rozmów w różnych stronach sali prowadzonych, podniósł się donośny głos woźnego, który stojąc we drzwiach zawołał.

— Sprawa Romana Kalińskiego!

W pięknej obszernej i wysokiej sali, za stołem zarzuconym księgami i papierami, na krzesłach o wysokich poręczach siedzieli sędziowie z wyrazem chłodu i powagi na twarzach. W pobliżu przy oddzielnym stole w urzędowym ubraniu i z urzędową fizyonomiją i postawą prokurator, przerzucał papiery złożone na wysokim pulpicie. Publiczność zwolna i tłumnie napływając do sali zajmowała liczne rzędy krzeseł ustawionych za niską baryerą, ja także usiadłem już przy przeznaczonym dla mnie stoliku.

Zgromadzenie całe było w komplecie i brakowało tylko głównej figury, właściwego aktora w odbyć się za chwilę mającym ostatnim i zarazem wstępnym akcie dramatu, przedstawiającego upadek i niedolę człowieka.

Wszedł nakoniec i on. Dwaj żołnierze z podniesionemi w górę ostrzami bagnetów poprzedzali go, dwaj inni szli za nim. Przyprowadzono go ku ławie oskażonych przy której stanął z tyłu i z przodu otoczony swą strażą. Blady był, usta jego ściśle były zwarte i oczy spuszczone gdy przechodził salę, ale gdy stanął już na wskazanem miejscu i uczuł na twarzy swej mnóstwo utkwionych w niej ciekawych spojrzeń czoło jego i policzki głęboką zaszły purpurą, pochylił głowę i zdawał się być przytłoczony niezmiernem brzemieniem wstydu. Podniósł wysoko wzrok w którym odmalowało się piekło bólu i przygryzł zębami wargę tak, że wystąpiła z niej bujna krwi kropla.

Przez chwilę pomiędzy publicznością trwały ciche szmery towarzyszące zwykle poruszeniom rozciekawionego i wzruszonego tłumu, nagle stała się cisza wielka głęboka śród której zabrzmiał głos prezydującego sędziego:

— Sprawa Romana Kalińskiego obwinionego o zabójstwo z rabunkiem dokonane na Dyonizym Wierowskim.

Relacya sprawy trwała krótko, poczem za wysokim pulpitem podniosła się zimna, urzędowa postać prokuratora. Był to człowiek wymowny i biegły znawca prawa. Mówił długo, wiązał w mowie swej ścisłą nić dowodów i argumentów, cytował artykuły praw i zakonkludował wnioskiem o skazanie obwinionego na 12 lat ciężkich prac. pozbawienie go praw szlacheckich i obywatelskich, i co zawsze idzie za tem wieczne pozostawienie go w Syberyi.

W czasie mowy prokuratora parę razy spojrzałem na więźnia. Stał teraz wyprostowany, ze skrzyżowanemi rękami. Usta jego były suche, spieczone i w pół otwarte, ale oczy zagasłe i szklano utkwione w przeciwległą ścianę. Możnaby rzec iż nie słuchał bynajmniej słów które tak wielki wpływ na los jego wywierały, ale spieczonemi usty z trudnością do piersi swej wciągając powietrze zgasłemi źrenicami ścigał jakieś w oddali majaczące mary przeszłości czy — przyszłości.

Gdy ostatnie słowo prokuratora umilkło śród ścian sali z kolei i ja powstałem. Nigdy jeszcze taki jak dnia tego nawał myśli nie tłoczył mi się do głowy, nigdy przedtem nie broniłem żadnej sprawy z takiem jak dnia tego głębokiem przekonaniem i wewnętrznym lub ukrywanym zapałem. Powiedziałem wszystko co tylko wagę występku umniejszyć, rodzaj jego mniej karygodnym uczynić mogło; nie szczędząc nikogo wyjawiłem wszystko com myślał i wiedział o sposobie w jaki wychowywano młodego tego człowieka, o moralnej atmosferze śród której wzrosł tąk kaleko, o psychicznych dziejach jego wnętrza i patologicznych niemal skrzywieniach jakim uległa młodzieńcza więc chwiejna istota jego. Odpierałem oskarżenie o zabójstwo z kradzieżą i dowodziłem prostego zabójstwa wynikłego z uniesienia i trafu a (wymieniając artykuł prawa całkiem inny niż ten który wymienionym został przez prokuratora, prosiłem o skazanie podsądnego na dwa lata przebywania w więzieniu.

Kiedym skończył usłyszałem pomiędzy publicznością szmer wielce dla mnie pochlebny, a spójrzawszy na obwinionego zobaczyłem że wzrok jego nie był już zagasłym i szklannym, ale obejmował twarz moją spojrzeniem pełnem niewymownej wdzięczności i nadziei obudzonej snać w nim słowami mojemi. Niestety! jam nie miał w całe nadziei aby żądanie jakie wyraziłem spełnionem być mogło. Wykonałem moją powinność ale czułem, że stokroć nawet wymówniejsze od mego słowo musiało by być bezsilne w obec surowości faktycznych świadectw i nie ubłaganej litery prawa. Czułem iż dowiedzenie prostego zabójstwa z uniesienia i trafu niemożebnem było w zupełności w obec faktu onych nieszczęsnych pieniędzy bez najlżejszej wątpliwości odebranych zabitemu.

Jakkolwiek przyzwyczajony byłem do scen podobnych, serce uderzyło mi żywiej gdy sędziowie po pół godzinnej naradzie w przyległej komnacie odbytej, weszli z powrotem do sali i usiedli za stołem.

— Na mocy artykułu prawa X. zabrzmiał głos prezydującego, Sąd kryminalny miasta N. wskazuje Romana Kalińskiego na pozbawienie wszystkich praw i przywilejów, na 8 lat ciężkich robót w kopalniach i wieczne zamieszkanie w Syberyi.

Wszystko com wypowiedział zdołało wyrok sędziów uczynić łagodniejszym od wniosku prokuratora o 4 lata trwania głównej kary.

Szedłem ulicą głęboko zamyślony gdy o kilkanaście kroków przede mną błysnęły pod promykiem przebijającego chmury zimowego słońca bagnety żołnierzy.

Przyśpieszyłem kroku i szedłem chodnikiem równolegle ze zbrojnym orszakiem postępującym zwolna środkiem ulicy. Kaliński szedł pośród straży swej ze skrzyżowanemi na piersi rękami i oczami utkwionemi w ziemię. Na twarzy jego nie było ani rozpaczy, ani rozjątrzenia, ani trwogi, ani zuchwałości ani pokory; nie malowało się na niej słowem żadne z tych uczuć które czytałem nieraz w fizyomijach ludzi ulegających losowi doli jego podobnemu.

Wydawał się głęboko zamyślonym i nie wiem czy myliłem się czytając w źrenicach jego nawpół widzialnych z pod spuszczonych powiek, w dwóch zmarszczkach które przerznęły mu czoło, w surowym i smutnym nieco zarysie ust jego bladych, ale byłem pewny, że myśl jego przebywała w tej chwili w rodzinnem miejscu i żegnała je na wieki, że duch jego ze skupioną w sobie boleścią sunął po szlaku krótkiej swej przeszłości rachując rany jej i zboczenia, zapytując siebie i wszystkiego z czego powstał, dla czego to co w nim było nie było innem, co stało się z nim nie stało się inaczej.

Idący przodem żołnierze stanęli przed drzwiami więzienia w których zadzwonił klucz obracany w zamku.

Zgrzytający odgłos ten przerwał zadumę więźnia.

Podniosł głowę, wyprostował się, ręce jego ściśnione dotąd na piersi, opadły. Wrota więzienne roztworzyły się, więzień wstąpił w sklepioną bramę. Szedłem za nim pociągany ciekawością, współczuciem.

Ani dozorca ani straż, znając mię dobrze, nie wzbroniły mi wstępu. Kaliński, zatrzymał się przez chwilę u wejścia na dziedziniec, na którym zgromadzili się licznie oczekujący na południowe pożywienie więźniowie, postawa jego stała się hardą i wyzywającą.

Oczami dziwnie zmienionemi, których dno zalegała posępna chmura, a powierzchnia błyskała ostrem światłem rodzącego się cynizmu, powiódł dokoła.

Zarazem odetchnął głęboko i donośnym, dźwięcznym głosem, zaśpiewał pieśń jakąś hulaczczą i bezładną.

Szedł przez długi dziedziniec kierując się ku pogrążonemu w cieniu drugiemu podwórzowi. Był to Ereb, w którym przemieszkiwały duchy potępione, do jakich on dziś już stanowczo zaliczonym został. Szedł ku Erebowi temu wyprostowany, hardy i wciąż śpiewał, a bezładne tony jarmarczej pieśni, wybuchały z piersi jego jeden po drugim, zdając się ścigać wzajem i pochłaniać w szalonym pędzie, w zawrotnych skokach pijanej wesołości. Wzrokiem i uchem ścigałem postać jego i głos. Widziałem jak wszedł pod niskie sklepienie drugiej bramy, i po chwili zanurzony w zmroku odległego dziedzińca, wydawał mi się niepewną szarą liniją, rozpływającą się stopniowo w morzu ciemności. Zarazem z głębin w które się, zanurzał, śpiew jego wybuchnął ze zdwojoną siłą. Nie było już w nim jednak, ani pijanego szału, ani zuchwałej wesołości. Rozległ się on w śród murów więziennych, przeciągły, nabrzmiały ogromnem łkaniem, przeraźliwy jak jęk, srebrny jak dzwonek kościelnego sługi, poruszany przy łożach śmierci... A mnie się zdało, że usłyszałem wielki krzyk pożegnania, który po za ściany więzienne rzucił światu, człowiek stracony

---

WIEŃCE.

Wieniec co z świata
Róż się zaplata,
Wdzięcznie, uroczo śni.
Anioł dziewica,
Oblubienica,
O wieńcu marzy, śni.

O marzeń błoni
Młodzieniec goni,
Do wieńca kwiaty rwie,
Po wdzięczny wieniec,
Co przez rumieniec,
W czucia rozkwita łzie.

Niezłomnej woli,
Mąż się mozoli,
Sięga po dumy kwiat,

Po wieniec sławy,
Promienny łzawy,
Koronę męzkich lat.

Ach! po młodości,
Ach! po miłości,
Zostanie rzewna pieśń,
Nabytą w trudzie,
Cześć przedrwią ludzie,
Przetrawi rdza i pleśń.

O tylko złoty,
Ów wieniec cnoty,
W wieczności będzie lśnić,
Bluszcz niepodzielny
Nieskazitelny,
Wiecznie się będzie wić.

J. Z.

O WYCHOWANIU.

Rozwój w dziecku sił fizycznych.

Stara prawda znana wszystkim, że w zdrowem ciele, zdrowa dusza przemieszkuje, dotąd mówiąc prawdę, piękną jest tylko sentencyą przez wszystkich szanowaną, ale w wychowaniu dzieci nie stojącą na tem stanowisku na jakie zasługuje. Wprawdzie o zdrowie dziecka bardzo dbamy, pilnujemy żeby się nie zaziębiło, żeby po jedzeniu nie piło, nie najadło się czego szkodliwego, nie objadało zbytecznie, słowem na podobne szczegóły zwracamy pilną baczność, ale pomijamy to, co się szczególniej do zdrowia dziecka przyczynia.

Mamy tu na myśli rozwój sił fizycznych, które aby należycie kształciły się wymagają jak siły moralne odpowiedniego z niemi postępowania. W rodzinach z pracy rąk utrzymujących się, obowiązek ten spełniają same okoliczności, zmuszające wychowańców do różnych posług domowych wymagając natężenia siły a tem samem i rozwój jej ułatwiających: w rodzinach zamożniejszych muszą iść w pomoc odpowiednie ćwiczenia, gdyż inaczej harmonijny rozwój sił duszy i ciała nie nastąpi.

Dziecko któremu wszystko zrobią, wszystko ułatwią, które potrzebuje tylko usta otworzyć i rękę podnieść aby nie było głodne i łaknące, pozbawione jest wielu środków naturalnych przyczyniających się wielce do tyle upragnionego rozwoju swego ciała. Nienależy więc je pozbawiać ich w zupełności, a unikając zbyt uciążliwych uznajemy za zupełnie właściwe, aby dzieci w pokoju przynajmniej przez siebie zajmowanym i w rzeczach przez siebie noszonych, utrzymały odpowiedni porządek. Niech więc zamiatają, ścierają kurz, ścielą posłania, czyszczą rzeczy a nawet obuwie choćby zabłocone, z tem tylko zastrzeżeniem, aby czas na to poświęcony nie przeszkadzał do zajęć innych poświęconych nauce. Są to wprawdzie czynności zwykle usuwane od dzieci, ale zupełnie niesłusznie. Pomijając już wpływ na rozwój sił fizycznych za mały mogący być uważanym, samo przyzwyczajanie do obsługi własnej niemałe ma znaczenie moralne.

O potrzebie ćwiczeń gimnastycznych i sposobie systematycznego ich przeprowadzenia nie będziemy się zastanawiać. Należy to do oddzielnego działu, obszernie w stosownych dziełkach rozwiniętego. Tu tylko nadmienimy, że dziecko aby w ruchach swych nie było niczem krępowane, powinno mieć na sobie ubranie jak najswobodniejsze. W dworach wiejskich potrzeba ta więcej jest zachowywaną, gdyż chęć pokazania dzieci we wdzięku podniesionym ubraniem, z powodu braku obcych ludzi mniej jest drażnioną, ubrania więc ich bywają oszczędniejsze a tem samem więcej swobodne, ale w miastach zdaje się niepodobieństwem aby dziecko wyprowadzić na publiczne miejsce, nie wystrojone o ile można najokaźniej. Chłopcy mniej na tem tracą osobiście, bo jako ruchliwsi na ubior swój gdy idzie o zabawę nie wiele dbają, ale dziewczynki baczniejsze na niego, swobodę w ruchach krępują przystrojem. Jest to na pozór niby mała rzecz, ale w skutkach dalszych niezmiernie szkodliwą. Dziewczynka jak laleczka ustrojona, mając sobie bardzo słusznie ciągle powtarzane, aby ubioru szanowała, nie podarła nie poszarpała nie zawalała, lęka się później podskoczyć, biedz żywiej, pogonić się, przeskoczyć przez jaką przeszkodę, nachylić się żwawiej, bo ciągle ma na myśli ubiór, aby mu w czem szkody nie sprawiła. Tą bacznością ruchy jej ciągle krępowane, a przeznaczone z natury do zupełnej swobody, nabierają nieśmiałości, sztywności, lękliwości, a przedewszystkiem nie dają jej takiej korzyści jakie z zupełnej swobody na dziecko spływają. Natura najlepszą tu mistrzynią, bo wymagając rozwoju ciała dopiero kształcącego się, przez ruchy odpowiednie, nadała dzieciom szczególne zamiłowanie ruchliwości, bez której nie mogąc niemal chwili pozostać, zdumiewają nawet starszych swą wytrzymałością w męczącem bieganiu. Temu więc naturalnemu usposobieniu nie należy się niczem sprzeciwiać ani utrudzać ubiorem, bo sprzeciwianie się naturze nigdy bezkarnie nie uchodzi.

Wybornem jest także zajmowanie dzieci pracą około ogrodu; niech w nim kopią, grabią, gracują, wożą taczkami, dźwigają, niech się wspinają na drzewa po owoce, niech się chwytają pracy rolniczej które ma do tego ochotę, do czego nie należy zmuszać ale zachęcać pilnując, aby dziecko nie wyrządziło sobie jakiej szkody. Obok tego, bardzo dobrze jest dziecko uczyć konnej jazdy, pływania, szybkiego biegu przez gonitwy, fechtunki, jazdy na łyżwach, robienia wiosłem, a nawet pasowania się i bitwy na pięście. Wszystkie te umiejętności, obok zbawiennego wpływu na rozwój sił fizycznych, stają się niezmiernie pożytecznemi w dalszym ciągu życia, tak dalece, że od nabycia ich nie powinno się usuwać nawet dziewczynki. Nie idzie tu o to aby dziewczynka stawszy się kobietą, zmieniła się w kawalerzystę, umiejącą wywijać rapirem, w pasowaniu powalić przeciwnika lub wykuksować go pięścią i popodbijać oczy, ale przez podobne szermierki pozbywa się lękliwości już wrodzonej, która nie wyniszczana przechodzi w stan chorobliwy, na widok konia kręcącego się, pałasza, sztyletu lub pięści groźnie podniesionej, sprowadzających spazmatyczne kurcze, bezwładność lub zupełne omdlenie.

W staraniu o dobry ich rozwój fizyczny, wszystko jest właściwem co tylko go ułatwia i hartuje. Nic tu pomijać nie należy, najmniejszy drobiazg mogący zbawiennie działać, nie powinien być lekceważony, tak dalece, że można na pewno twierdzić, iż właśnie to pomijanie jednego jako nie właściwego, a drugiego jako małej wagi, wpłynęło tak szkodliwie na nasze kobiety, które co raz więcej matkami wcale nie zostają, a te zaś co cieszą się macierzyństwem, dziatek własną piersią wykarmić nie mogą. Nic też dziwnego, że pokolenie ludzkie karłowacieje i niedołężnieje co raz więcej, bo jakież to są siły matki, które dozwalają spełnić jej tylko w połowie obowiązki macierzyństwa, jakież może być dziecko z takiej matki urodzone? Idąc też tak z pokolenia na pokolenie, przyszliśmy pod względem fizycznym do takiego upadku, że ratunek stał się na gwałt koniecznym, jeżeli chcemy aby w niedalekiej przyszłości, lilipuci nie stali się naszemi następcami, albo bezdzietność małżeństw nie była normalnym stanem' społecznym, a dzietność ich wyjątkiem należącym do wielkich rzadkości. Zajmowanie także dzieci jaką rzemieślniczą pracą wymagającą natężenia siły, choćby rąbaniem drzewa, wycieranie podłogi froterowanej szczotkami także pomijanem być nie powinno.

Wszystkie te czynności mające na celu hartowanie sił fizycznych, powinny tak być rozdzielone, aby nie nudząc jednostajnością w miarę możności zastosowania ich następowały jedne po drugich. Godzina czasu poświęcona dla nich codziennie, będzie aż nadto dostateczną aby wywarły swój wpływ zbawienny. Można z nich wybrać niektóre, ale nauczenie się pływania, konnej jazdy, fechtunku, strzelania z broni palnej, a nawet boksowania na pięści, uważamy za konieczne. W życiu ludzkiem szczególniej mężczyzn umiejętności te w wielu razach okażą się bardzo zbawcze, i nie jednemu już nie tylko ocaliły życie, ale obroniły od nędzy z braku zarobku wynikającej.

W CHATCE RYBAKA.

Szkice z życia ludu Włoskiego

przez

Ludwika Niemojowskiego.

(Ciąg dalszy).

Jeżeli postać błąkającego się po niedostępnych górach turysty mogła być dla mnie niepojętą, tym mniej zrozumiałem człowieka grzebiącego w piasku, który gonił myślą za najwyższym ideałem marzeń śmiertelnika — sławą.

— Na Boga! zawołałem zdumiony — nie rozumiem was!

Wyrazy te owiały chłodem rzeczywistości chwilowy zapał nieznajomego: Spojrzał na mnie, uśmiechnął się—a powstawszy z miejsca i skłoniwszy z całą swobodą wychowańca paryzkich salonów, rzekł:

— Jestem Artur de G... profesor nauk przyrodzonych w Montpelier, członek towarzystwa Geologicznego w Paryżu, wysłany przez toż towarzystwo celem zbadania warstw i pokładów ziemnych z których składa się pasmo gór appenińskich i jego odnogi.

Zasłona spadła mi z oczów usłyszawszy imię znane w naukowym świecie. Powiedziałem mu nawzajem swoje nazwisko, i odtąd najżyczliwsze stosunki zawiązały się pomiędzy nami.

Stary Lorenzo nigdy zrozumieć nie zdołał ażeby człowiek bawiący się piaskiem, mógł należeć do grona mężów których sławę rozgłośnie echo dzienników roznosi po obszernym świecie!

— Obałamucił was swoją wymową, mruczał kiwając głową, i uwierzyliście mu. Waryaci miewają czasami szczególny dar wysławiania się: na nieszczęście dziecinna igraszka jasno pokazuje stan biednego jego umysłu.

Odtąd więc miałem towarzysza w czasie wycieczek moich w góry. Pan de G... poświęciwszy się z zamiłowaniem jednej z najciekawszych gałęzi wiadomości przyrodzonych, posiadał prócz głębokiej nauki gładkość towarzyską, łatwą i porywającą wymowę, które to zalety przy zupełnym braku pedanteryi czyniły obcowanie z nim nadzwyczaj miłem i nauczającem. Znalazłszy we mnie słuchacza pragnącego korzystać ze światła jego wiadomości, rozwinął całą teoryę tworzenia się licznych warstw skorupy ziemskiej, a sięgnąwszy w odległą przeszłość, wtedy gdy krzepnąca powierzchnia zagasłego słońca, pokryła się pierwszą powłoką, przechodził kolejno szereg wieków, rozliczne przeistaczania się tworów nieorgani-

cznych i organicznych, rozumując nad każdym wnioskiem, objaśniając każde przypuszczenie. Doskonałe narzędzia które posiadał czyniły wykład jego jasnym i zrozumiałym; i jam go słuchał z zajęciem, zapałem, a częstokroć zapadające pomiędzy góry słońce zastawało nas obydwóch schylonych nad mikroskopem, i badających milijony milijonów muszli z których złożony jeden drobny pyłek kredy, ulatujący pod podmuchem dziecinnej igraszki w przestrzenie.

Tymczasem w chacie rybaka nic się nie zmieniło: Gigia była zawsze smutną i małomówną — Peppina żywą i naiwną, a Concetta... Concetta śpiewała niby ptaszek gajów wśród których wzrosła.

Ilem razy powracał z codziennych wycieczek, Tili stary brytan z którym miałem czas bliższą zabrać znajomość, wychodził naprzeciwko kiwając ogonem i okazując swe zadowolnienie; za nim w ślad biegła Concetta śpiewając ulubioną piosenkę, a przyszedłszy witała mnie niby brata serdecznym uściskiem; Gigia siedząc na ławeczce z głową spuszczoną i okiem łzą zaszłem, wyciągała tylko rękę mówiąc:

— Amigo mio, si tu sapevi!

Nie—nie zdołam nigdy powiedzieć wam com więcej cenił: czy uścisk niewinnego dziewczęcia, czy łzawe przywitanie smętnej dziewicy!

I za chwilę odzywał się znowu wesoły śpiew:

Guando mi piaco l'aria dello mare...

. . . .

Czasem udawałem się z rybakami na połów. Jechaliśmy zwykle małym wózkiem do Terracina, tam zgromadziwszy się w dostatecznej liczbie, z małej przystani niedaleko Torre di Confoni stanowiącą ówwczas granicę królestwa Neapolitańskiego, wypływaliśmy na pełne morze. Statki rybackie w liczbie dziesięciu do dwudziestu płynęły pod kątem ostrym, tak że zawsze jeden z nich na którym znajdował się dowódzca wyprawy przodkował, a inne dwoma ramionami ciągnęły za nim w równych odstępach. Przybliżyliśmy się do miejsca w którem już uprzednio zarzucono sieci, a które zdaleka poznać było można po grubych kawałkach korka utrzymujących cały przyrząd na powierzchni morza, a tam zmieniał się porządek rzeczy: il padrone di matanza (dowódzca parowu) wysuwał się ze swoją łódką naprzód, inne statki nadzwyczaj zręcznym obrotem tworzyły kąt którego ramiona opierały się o krańce sieci, rybacy podnosili do góry wiosła, ażeby odstraszyć większe ryby pragnące szukać ocalenia w ucieczce, nagle zwijano żagle — i nastawała cisza przerywana tylko szumem bałwanów obijających się o brzegi statków.

Budowa sieci rybackich częstokroć dosyć jest skomplikowaną, te które miałem sposobność widzieć złożone były z mnóstwa komórek czyli matni połączonych jedna z drugą, a kończących się jedną ostatnią zwaną Cammera di morte.

Il padrone di matanza, położył się prawie w swojej łódce, bystrym wzrokiem śledził poruszenia korków i sznurów, wprawnem uchem słuchał niepochwyconych przeze mnie szmerów, palce przyłożył na usta na znak milczenia, a kilkudziesięciu silnych pełnych życia i zapału ludzi stało nieruchomie z wzniesionemi wiosłami, niby kamienne posągi, czekając jednego wyrazu, jednego skinienia, które miało być hasłem śmierci tysiąca ofiar.

— Basta! krzyknął nagle wznosząc się na swej łódce dowodzący wyprawą, i śmiałem poruszeniem zamknął otwór sieci.

Pędem strzały sunęły statki. Camera di morte otoczoną została, w żylastych rękach błysnęły oszczepy i zaczęła się rzeź straszna, dzika, przerażająca.

Widok ten na nieprzywykłym do podobnych obrazów turyście przykre sprawia wrażenie, pewien jednak rodzaj niebezpieczeństwa z jakiem połączoną jest każda podobna wyprawa, każe zapominać niejako o uczuciu wyradzającem się na widok morza zarumienionego krwią tylu niewinnych i nieszkodzących nikomu istot.

Niektóre z większych ryb tak szalenie biją ogonami w około siebie iż wątłe statki zaledwie mogące utrzymać się na powierzchni morza, narażone bywają na zatopienie. Sam byłem raz świadkiem jak jeden mały chłopczyna syn rybaka z okolic pante maggiore, puściwszy linę stracił równowagę i wyrzuconym został w morze.

Paolo zrzucił z siebie kurtkę wraz z czerwoną czapeczką i w jednej chwili znikł w głębinach.

Kilka sekund nie upłynęło a już wybawca i wybawiony ukazali się po nad powierzchnią.

— Paolo! rzekł wybladły starzec, ojciec ofiary, którego inni wstrzymywali, od rzucenia się za synem w otchłań: Paolo — Bóg ci to wynagrodzi...

Proste to było podziękowanie, równie proste jak poświęcenie się wybawiciela. Ale ci ludzie przepędzający połowę życia swojego na otwartem morzu, przywykli do podobnych wypadków: u nich wściekła burza której ryczące orkany wzruszają aż do niedoścignionych bezdeni rozhukane bałwany, wicher szarpiący w drobne szmatki potężne żagle stają się zwykłem przerywającem jednostajność codziennego życia wrażeniem, u nich śmierć nagła, niespodziewana którego z towarzyszy jest smutnym ale nader zwyczajnym wypadkiem.

Kilka łez ojca lub brata zmięsza się z wodą morza które pochłonęło ofiarę, kilka westchnień przyjaciół uleci do nieba!

— Povero! szepną z cicha towarzysze — i wracają wszyscy do swych zatrudnień, do swej pracy i niebezpieczeństw.

W samotnej tylko chatce drżą ręce osieroconej matki, która płacząc naprawia sieci do dalszej wyprawy.

Takiem jest życie rybaka!

. . . .

Bywały dnie w których widokrąg niebios pokrywał się ciemnemi chmurami, w których ryczały wściekłe wichry, a bałwany rozhukanego morza rozbijały swe siwe grzbiety o granit skał. W podobnych chwilach jakiś niewysławiony odcień smutku spłynął na wypogodzone zwykle twarze mieszkańców chaty. Stary Lorenzo zapalał lampkę przed wizerunkiem Madonny della Salute. Poważna Gigia śledziła błędnym wzrokiem walkę żywiołów szepcząc z cicha modlitwę, Concetta przerwała swe pieśni, a mała Peppina upadłszy na kolana złożyła błagalnie drobne swe rączki; nawet poczciwy Tili widząc ogólną tęsknotę, przestał uprzykszać się swojem łaszeniem i utajony w najciemniejszym kąciku izdebki — skomlał od czasu do czasu żałośnie.

A przecież owa szalejąca burza nie mogła wpłynąć w niczem na szczęście i spokój mieszkańców chaty. Łodzie i sieci ich były w bezpiecznem miejscu, połów wczorajszy udał się przewybornie, następne wskutek oczyszczenia atmosfery dawały pewniejszą jeszcze nadzieję.

Dla czegoż więc chłopcy patrzą tak poważnie, dla czego dziewczęta skłaniają smutnie swe głowy na dłonie, dla czego wreszcie starzec spoglądając na oświetloną blaskiem lampy postać Madony, ociera ukradkiem łzę?

O bo tę pełne chrześcijańskiej miłości istoty myślą wtedy o nieszczęśliwych których burza spotkała na pełnem morzu, pozbawionych pociechy, pomocy i współczucia...

Każdy wark gromu wstrząsający szybami okien zdaje się być hukiem działa wzywającego ratunku, każdy ryk wiatru krzykiem rozpaczy, każdy szelest liści szumiących na drzewach ostatnim jękiem konających bliźnich...

Złote, poczciwe serca... oni cierpią cierpieniem braci w Chrystusie!

Znowu miesiąc czasu upłynął.

A dnie mijały zwykłą koleją; jednostajność tę przerwały tylko, jarmark w Terracina gdzieśmy się wszyscy udali, odpust w Sonino i odjazd pana de G... do Marsylii.

Jarmark odbył się jak odbywają się wszystkie jarmarki we Włoszech: nie brakło tam ani szarlatanów głoszących cudowne eliksiry i lekarstwa na wszystkie słabości, ani pulcinella prawiącego dowcipne lazzi zgromadzonym tłumom, ani nawet pchnięcia sztyletu którym jakiś wieśniak z Ponte Maggiore poczęstował mieszkańca Fondi. Odpust połączony z tombolą czyli loteryą podobny był także do wszystkich odpustów i tomboli całego półwyspu, a odjazd pana de G..., o tyle tylko wpłynął na nasze ciche i spokojne życie, iż w umyśle moim pozostawił próżnię, której nie zdołały zapełnić całkowicie skarby przyrody otaczające nas do koła.

Jam przywykł do towarzystwa Geologa francuskiego, do jego rozmowy nauczającej, do światłych jego wywodów i spotrzeżeń, równie jak przywykłem do śpiewki Concetty, do smutku Gigii i do dziecinnych pieszczot małej Peppiny. Jedno bez drugiego to ciało bez duszy, to pierwotwór bez nauki, to teraźniejszość bez przyszłości, razem wzięte, stanowiły ową harmonijną całość, ów splot rozkoszy wyobraźni z rozkoszami umysłu, który te kilka chat rybackich, rozrzuconych pomiędzy skałami, zamieniały w pełne powabu ustronie.

Pewnego dnia udając się na samotną przechadzkę ujrzałem najstarszą z trzech siostr siedzącą w cieniu drzew; głowę miała wspartą na dłoniach które jej twarz zakrywały.

Nic nie mówiąc usiadłem koło niej i ująwszy za ręce, odsłoniłem te foremne i klasycznej piękności rysy.

Gęste łzy spływały z jej ciemnych oczów.

— Gigia, rzekłem łagodnie: dobrze to poddawać się tak smutkowi który cię trapi? Nie wchodzę ja w jego powody, ale czyż przystoi córce rybaka, która jak sama mówiłaś powinna mieć hart męzkiej woli, w łzach i szlochaniu przepędzać piękny dzień Boży? Smutkiem swym zatruwasz starość ojca zamiast mu ją osłodzić, oziębiasz naiwną wesołość siostr swoich, rzucasz cień na stosunki rodzinne, a nam przyjaciołom twoim sprawiasz niewysłowioną przykrość.

— Prawda! westchnęło dziewczę: święte wasze słowa.

— A i sobie niczem niewynagrodzoną wyrządzasz krzywdę, ciągnąłem dalej: piękne twe oczy z których tyle łez płynie zapadną głęboko, opuchną od ciągłego płaczu, rumieńce znikną z twej twarzy — zestarzejesz się, zwiędniesz, będziesz brzydką!

Wstrząsła się, spojrzała na mnie ze strachem i szepnęła:

— O tak—prawda, prawda.. słusznie mówisz: będę brzydką i niezdołam się już nikomu podobać!

Trafiłem w najsłabszą stronę niewieściej natury.

— Ale cóż czynić? dodała po chwili — powiedz ty amigo mio; gdy kogo opuszczą wszystkie marzenia szczęścia, wszystkie nadzieje przyszłości—gdzież powinien zwrócić swe kroki, do kogo się udać?

— Tam! rzekłem wskazując na wznoszący się opodal posąg Madonny, który pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły w tej chwili jasną różową barwą: tam do stóp Madonny winnaś ponieść swoje strapienia, swój smutek—a ona, ta Królowa niebieska wejrzy na ciebie łaskawie, wybłaga u tronu Stwórcy zmiłowanie i pociechę!

— Luigi! zawołała nagle z zapałem owa nieodgadnięta dotąd przeze mnie istota chwytając moje ręce:

Luigi—tyś prawdziwym przyjacielem! Ile razy zwróciłam się do Madonny, powracałam silniejszą na duchu, umocnioną na myśli, dziś zaczęłam wątpić: słowa twoje wlały na nowo otuchę w me serce i wiarę w mą przyszłość

I znowu głowa jej opadła smutnie na piersi.

— O jam bardzo, bardzo nieszczęśliwą Luigi!

— Smutek twój widzę, nieszczęścia nie pojmuję.

— Zna je tylko Bóg, stary mój ojciec i on. Znać je będziesz i ty przyjacielu!

(d. n).

Przegląd literacki.

Niwa.

Z drugiego półrocza 1874 roku.

Ze zmianą redakcyi i przybraniem zeszytowego formatu Niwa zmieniła dotychczasowy swój kierunek przynajmniej o tyle, że stała się wyrozumialszą i przestała być fanatyczną zwolenniczką nieznającego tolerancyi zarozumiałego pseudo-pozytywizmu. Z ubiegłego już półrocza możemy osądzić, że pismo w ogóle występuje na lepsze tory, stara się być istotniej i wszechstronniej naukowem, nie poprzestając, jak dawniej, na powierzchownych, lecz za to nadętych wypracowaniach, pełnych negacyi i bezwyznaniowego utylitaryzmu. W prawdzie i teraz jeszcze sfera przyrodniczo-realna cieszy się większą sympatyą redakcyi; w prawdzie i dziś jeszcze nierzadko spotykamy na kartach Niwy odgłosy, zachodniego pozytywizmu, ale cieszymy się przynajmniej z tego, że pismo to opuściło podarty już nieco sztandar pozytywizmu warszawskiego, który nietylko posiada odrębną swą naukę, odrębną logikę i argumentacyę w dowodzeniach, ale nawet odrębny styl i odrębne polemiczne zwroty.

Nie tak to jednak łatwo uwolnić się całkiem od dawnych pozostałości i do takich właśnie zaliczamy artykuł w Nr. 6 Niwy umieszczony p. t. ,,W obronie prawdy historycznej.“ Treść tej wrzekomej obrony, pióra niejakiego Mińczuka t. j. mieszkańca miasta Mińska (chociaż to wyraz niezupełnie polski) stanowią pozbierane urywkowe świadectwa naszych pisarzy o rozmaitych za czasów dawnej rzeczypospolitej zatargach pomiędzy katolikami i tak zwanymi podówczas dysydentami czyli różnowiercami, pomiędzy unitami i dyzunitami. Z tych pozbieranych przez autora a w cale nie nowych szczegółów dowiadujemy się, że w przeciągu jakich trzech stuleci tu i owdzie wyznawcy rozmaitych kościołów wydzierali sobie przemocą domy boże, wypędzali księży i t. d. Ale co z tego wszystkiego za wynik? Co do nas, dziwimy się owszem temu że owych wypadków wzajemnego prześladowania się, przy nieograniczonej niemal swobodzie szlachty i niemocy rządu, nie było daleko więcej i daleko sroższych, a choćbyśmy nawet do owych rzadkich, przez ,,Mińczuka“ wyłowionych wybryków i dodali postępowanie osobiste Zygmunta III z ową, bez wątpienia szkodliwą i opłakaną polityką religijną rzeczypospolitej względem kozaczyzny, to i tak jeszcze przywiódłszy na pamięć walki stuletnie, które w imię religii zalewały krwią zachodnią Europę, przypomniawszy sobie rzeź św, Bartłomieja i wojnę trzydziestoletnią, Tillego i dragonady Ludwika XIV (nie mówiąc już o wcześniejszych rzeziach jak np, krucyata przeciwko Albigensom, tępienie Maurów lub wojny husyckie), zawsze jeszcze pozostaniemy przy dawnem przez wszystkich historyków przyjętem zdaniu że w dawnej Polsce tolerancya była większą niż w którymkolwiek z krajów spółczesnych i że w imię religii nie popełniano ani tysiącznej części tych okrotności; co gdzie indziej. Taką jest *prawda historyczna* którą musi uznać każdy, bez względu na opinije i sympatye — każdy, nawet zkądinąd jak najmniej skłonny do uwielbienia dawnej rzeczypospolitej. W takim razie, po co było zbierać owe świadectwa? Cel szanownego ,,Mińczuka“ pozostaje zawsze niejasnym. Nie możemy tu długo rozszerzać się o tym przedmiocie; nawiasem tylko wspominamy że nawet przytoczone przez niego świadectwa, po większej części ogólnikowe, mocno są naciągane: z pomiędzy ,,potentatów wiedzy“ których p. Mińczuk chciałby przemocą uczynić odpowiedzialnymi za swoje własne poglądy, z pomiędzy owych potentatów znajdujemy *jeden tylko* ogólnikowy frazes Lelewela, *jeden* Narbuta i *jeden ustęp* z Kraszewskiego tyczący się dysput akademickich, które zakończyły się *pięścią i kijem* (co i dziś jeszcze bywa). Nie znaleźliśmy u autora ani jednej cytaty z Bartoszewicza, ani jednej z Szajnochy ani z Koronowicza, ani jednej z Moraczewskiego, ani jednej ze Szmita ani z Morawskiego a przecież i to także potentaci nauki historycznej! Zresztą dosyć już o tem. Jedno tylko jeszcze przychodzi nam na myśl: dla czego to ani francuzcy ani angielscy ani niemieccy historycy nie podnoszą i nie dowodzą nietolerancyi i fanatyzmu swojego narodu, coby z łatwością im przyszło w obec tylu krwawych kart ich historyi? Prawdopodobnie rozumieją oni różnicę ducha czasu, wiedzą że to co było, wówczas inaczej być nie mogło; a zresztą widać, że u nich przedstawianie dziejów w podobnem świetle niebardzo popłaca. A jednak Guizot, Thiers, Michelet, Martin, Macaulay, Schlosser, Gervinus i t. d. niemniej zapewne od p. ,,Mińczuka“ dbają o prawdę historyczną nie zamykają oni też oczu na mniej lub więcej dostateczną karę historycznej Nemezys, która spotkała potomków za nietolerancyę i fanatyzm ich przodków.

Artykuł p. t. ,,Społeczny trójkąt Stronina Nr 7,8 i 9, daje nam poznać pomysły tego uczonego w dziedzinie socyologii czyli nauki o społeczeństwach. P. Stronin rachuje siebie do pozytywnej szkoły; wszelako należy zaznaczyć, że autor artykułu nietylko że nie poleca od siebie podawanych pomysłów, ale przeciwnie, na samym wstępie przytacza niezbyt przychylne o teoryi Stronina zdania p. Spasowicza. Co do samych pomysłów, są one w znacznej części oryginalne i niewątpliwie zasługiwały na poznanie bliższe. Autor łącząc naukę o społeczeństwach już to z fizyologiją, już to z matematyką uderzony nadto troistością wielu objawów społecznych (np. stanów, klas, władz państwowych). porównywa społeczność do trójkąta, a rozważając jego boki i linije wewnątrz kreślone, przy pomocy historyi zastanawia się nad stosunkiem tych linii i punktów, symbolizujących pewne warstwy ludności i władze. Tym sposobem, zaprawdę oryginalnie, ,,czas czyli historyę wypada mierzyć figurą przestrzeni“ jak mówi autor artykułu. Pomysły te, oczywiście, bardzo często mają charakter geometrycznej zabawki, bo chociaż nie są one zupełnie bezzasadne, gdyż istotnie owa troistość w wielu rzeczach istnieje, najczęściej p. Stronin naciąga historyą i klasyfikuje, wciskając pod swój troisty szemat objawy częstokroć wielorakie jak np. w owym podziale ludności na Mniejszość, Środek i Większość: wzywając na poparcie swego poglądu historyę Rzymu autor wtłacza w trzy owe kategorye najrozmaitsze i stany i klasy i warstwy ludności rzymskiej i nierzymskiej (Nawiasem mówiąc, zamiast *optimati* powinno być *optimates* N 8 str 461. tamże powinno być *politai tetai* nie zaś *oi*). Zresztą, biorąc rzecz logicznie, istnieje tylko *większość i mniejszość*, a *środek* pojęcie to bardzo chwiejne, względne, a więc najbardziej dowolności podległe. Pozwolimy więc sobie powiedzieć, że odrzuciwszy ów środek i poprzestając, po dawnemu, na wyróżnieniu rządzących i rządzonych, możnaby z większą może trafnością dowieść dualizmu w społeczeństwach, obrawszy za jego symbol choćby np. kąt prosty. Autor pomysłów posuwa się aż do tego stopnia, że wypadki przecinania swego trójkąta linijami na papierze usiłuje tłomaczyć za pomocą historyi i stawia np. takie dziwne pytanie ,,dla czego środek trójkąta przedstawia trapezy, a nie trójkąty?“ (Nr 8 str 464.) Tu już zdaje się jakby socyologija była istotnie niczem więcej jak geometryą, a geometrya socyologiją. Nie zdaje się nam także ażeby było słusznem przyjęte przez autora stopniowanie organizmów, które poczyna się od najniższych istot i dochodzi do człowieka, a potem idzie jeszcze dalej i dochodzi do społeczeństwa — wrzekomo najwyższego organizmu: gady i ryby — to pierwszy stopień; ptaki i zwierzęta — drugi, człowiek — trzeci, a społeczeństwo — czwarty (Nr 9 str 521.) Wszak to społeczeństwo nie inne, jak ludzkie, a przytem nie jest to wytwór przyrodzony, tak że nie zdaje się nam ażeby społeczeństwo ludzkie, było jakimś organizmem wyższym od człowieka ani nawet wyższą ewolucyą samego człowieka; choćbyśmy bowiem z Darwinem i innymi przyjęli powyższe stopnie rozwoju za studya rozwoju niższych istot w wyższe, to i tak przecież ptak np. lub ssące przeobrażając się, przypuśćmy w człowieka, zarazem udoskonala się, społeczeństwo zaś, jako prosty konglomerat, nie może być doskonalszem i lepszem od składających je jednostek. Nakoniec, byłoby jeszcze dużo do pomówienia o błędnem tłomaczeniu dziejów rzymskich, poprzestaniemy tu tylko na tej uwadze, że ów wspominany przez p. Stronina koncentryczny, spółśrodkowy, rozwój państwa rzymskiego :Nr. 9 str 528) nie był rozrostem naturalnym, lecz przypadkowym wypływającym z geograficznego położenia Rzymu względem reszty starożytnego świata, to jest prawie w samym jego środku. Z tąd oczywiście podboje rzymskie (nie zaś naturalny rozwój) musiały szerzyć się we wszystkie strony, co przecież niezawsze bywa, gdyż np. podboje Napoleona I, szerzyły się głównie na wschód, podboje Turków na zachód — w jednym lub dwóch ale niezawsze we wszystkich w koło kierunkach.

Zasługuje na uwagę obszerna krytyka grammatyki polskiej Malinowskiego przez p. Boduena. Praca p. Malinowskiego nieprędko doczekała się u nas specyalnej oceny, która zresztą, według słów autora jest tylko skróceniem wyczerpującej krytyki, mającej być ogłoszoną w osobnej książce. Zwykle to u nas dzieła treści poważnej albo całkiem nie mogą się doczekać krytyki specyalnej i gruntownej, albo bardzo późno. Krytyka p. Boduena wytyka wiele bezzasadnych przypuszczeń p. Malinowskiego, głównie w dziale głosowni; krytyk niejednokrotnie powstaje także przeciwko rozmaitym, jak nazywa ,,mistycznym siłom i potęgom“ które u p. Malinowskiego odegrywają wrzekomo ważną rolę. Słuszności w tem dużo chociaż z drugiej strony, zmuszeni jesteśmy istotnie używać nieraz takich wyrażeń jak ,,siła, duch języka i t. d. które w gruncie rzeczy są tylko przenośniami, lecz nieraz bywają brane w znaczeniu dosłownem. Żadna nomenklatura naukowa, jak i w ogóle mowa ludzka nie może obejść się bez symbolów i przenośni, których wszelako nie potrzeba nadużywać ani brać za prawdziwe istności, plącząc tym sposobem retorykę z metafizyką. Tak np. mówimy o duchu książki lub artykułu, o sile dowodów, o wypływaniu skutków z pewnego wypadku i t. d. chociaż nie przypuszczamy, ażeby istotnie w książce miał siedlisko duch jaki ażeby dowody istotnie mechaniczną siłę, jak muskuły ludzkie lub np. para, ażeby z wypadku płynęło coś istotnie, tak jak płynie woda. Recenzya p. Boduena zaprawioną jest tu i owdzie prawdziwym dowcipem i humorem: warunki to, podług nas, koniecznie

do zabarwienia i ożywienia krytyk, zwłaszcza przydłuższych i treści poważnej, z konieczności nieraz suchej. Wszelako niekiedy recenzent zbytecznie już może z góry traktuje zasłużonych uczonych, przypisując im nawet poglądy dziwne, przez nich niewypowiedziane, jak tego dowodzi np. protestacya p. Małeckiego w Nr 11 Niwy. Nadto pan B. ujmuje się za tem, czego kto może i nie chciał lekceważyć, gromi zaś tych, którzy nieco może przesadnie, ale nie bez słuszności zamiłowani są w swoim języku (Nr 9 str 550. Niemało i innych zajmujących artykułów z rozmaitych sfer wiedzy w ostatnich z ubiegłego roku zeszytach Niwy, które mamy przed sobą. Tak np. zasługują na uwagę korespoudencye z różnych okolic kraju i z zagranicy, studya o przemyśle krajowym i t. d. W krótkiej korespondencyi z Petersburga w Nr. 11 Niwy (str 726 - 728) znajduje się obrona „studentek" medycyny o których niezbyt korzystne obiegają wieści. Korespondent cieszy się z wiadomości że kursa medyczne dla kobiet mają być otwarte i w Warszawie, a przyznając że pomiędzy petersburgskiemi studentkami bywały nadużycia wypowiada zdanie że należy sądzić je z pobłażaniem i dodaje te słowa: „przygotujmy ją (kobietę) do *życia realnego*, odsłońmy jej tak dobre *jak i złe*, a wówczas ją bez pobłażania sądzić będziemy mogli" (str 727.) Szkoda że korespondent nie wyjaśnił bliżej jak pojmuje owo *życie realne*, a co do odkrycia złego—środek, pomimo że zalecany jeszcze przez J. J. Russo w Emilu, bardzo wątpliwej skuteczności, a to dla tego, że to cośmy dotąd przywykli nazywać złem moralnem, bynajmniej nie działa odstręczająco lecz pociąga ku sobie młode krewkie natury z całym ogniem młodzieńczego zapału.

Na koniec co się tyczy stosunku nauk medycznych do rodzinnego życia kobiety o tej kwestyi, lekko przez korespondenta potrąconej, wieleby można powiedzieć. Krótko mówiąc, wszelkie studya specyalne i specyalne powołania są niewątpliwie sprzeczne z przeznaczeniem kobiety, jako żony i matki. Dla nas zawsze kwestyą kobiecą jest potrzeba lepszego kształcenia przyszłych żon i matek, a rozmaite specyalne powołania, wymagające niezgodnych z kobiecą naturą wysiłków ciała i umysłu zabierające jej cały czas, mogą być dobre i stosowne tylko wyjątkowo dla tych, które naturalnego swego przeznaczenia spełnić nie zdołały. Przedewszystkiem potrzeba nam kobiet, potrzeba podniesienia i uzacnienia ich kobiecości — podstawy rodzin a więc i społeczeństw, w których kobiecie z natury przypada rola żon i matek—a wyjątki i zboczenie niech szukają najszerszego pola pracy, poświęcając się odpowiednim sobie zawodom, czasem nawet i mniej odpowiednim, męzkim, ale to co jest dobre dla wyjątków nie może być normą dla wszystkich: to co dla niewielkiej liczby jest pożądaną ucieczką, koniecznym środkiem zapewnienia bytu, nie może być dla ogółu nietylko pożytecznem, ale nawet potrzebnem, zkąd wynika że najczęściej bywa szkodliwem, gdyż w życiu ludzkiem nie masz rzeczy, które nie byłyby ani pożyteczne, ani szkodliwe.

W godnem uznania usiłowaniu rozszerzyć jak można najwięcej dziedzinę traktowanych przez siebie umiejętności i stać się pismem prawdziwie naukowem, Niwa posunęła swą odwagę do tego stopnia, że w N. 6 umieściła nawet artykuł z dziedziny filologii klasycznej n. p. „Nowoodkryty poeta łaciński Drakoncyusz". Notujemy ten fakt i widzimy w nim dowód odwagi dla tego że jak wiadomo, charakterystyczną cechą pism naszych, wyróżniającą je od podobnych zagranicznych, jest stanowczy wstręt do klasycznej starożytności. Pomyślałby kto, żeśmy już tak wysoko stanęli, żeśmy do tego stopnia rozwinęli samodzielną naszą cywilizacyę, że możemy nawet zupełnie zapomnieć o grecko-rzymskiej starożytności, w której wszystkie narody uznają źródło nowoczesnej oświaty, i dziś jeszcze widzą niepożyte wzory, godne reprodukcyi słowem, pędzlem i dłutem, widzą niewyczerpaną kopalnię zajmujących i ważnych badań. Zresztą, na częściowe choćby usprawiedliwienie tego wstrętu, należy wyznać że brak u nas i pracowników na tej niwie, bo praca to choć wdzięczna, ale trudna. Jeżeli porównamy nasze pisma z zagranicznemi, co za różnica pod tym względem! Oto np. najlepsze niedawno jeszcze na całej kuli ziemskiej (dziś nieco podupadłe) czasopismo „Revue des deux mondes" za najlepszych swoich czasów w każdym niemal zeszycie zawierało artykuły z dziedziny klasycznej starożytności, pióra takich uczonych jak Burnouf, Beulé, Thierry, Boissier i t. d.

Prawda że Francuzi mieli takich uczonych... W każdym razie Niwa pod tym względem zrobiła początek, a chociaż od owego czasu do dziś dnia nie pojawiło się jeszcze nic więcej z dziedziny klasycznej na jej kartach, wszelako, pomimo dobrze wiadomych nam trudności tkwiących po części i w usposobieniu czytelników, mamy nadzieję że Niwa w przyszłości nie zaniedba tej ważnej i pięknej gałęzi wiedzy.

W rubryce p. n. Spostrzeżenia, rozbiory i doświadczenia, podawane są pouczające rozstrząsania, zwłaszcza obcych prawie jeszcze całkiem naszym czytelnikom pojęć filozoficznych. Bardzo pożyteczna to rubryka, a zadanie jej, podług naszego rozumienia, powinno stanowić fiilozoficzne kształcenie ogółu, to jest za pomocą postępowych rozbiorów należy uczyć czytelników filozoficznego myślenia—że tak wyrazimy się znienacka — oswajać ich z logicznemi prawami i podstawami naukowych dowodzeń, gdyż tego to właśnie u nas wielki brak uczuć się daje, a niedojrzałość pod tym względem najbardziej ułatwia szerzenie się najdziwaczniejszych bredni i teoryjek, najdzikszych sofizmatów i nielogiczności. Zdawałoby się nam tylko że zawiele, stosunkowo, miejsca (bo aż w kilku numerach) zajmuje rozbiór niewiele ważnej z punktu widzenia nauki, a nawet bodaj że całkiem nienaukowej kwestyi — czy można dowolnie obudzić się o pewnej naznaczonej godzinie. Szkoda powtarzamy miejsca, którego Niwa nie ma tak wiele.

Więcej jeszcze rzeczy zbytecznych znaleźliśmy w artyle Nr. 11 p. n. kilka kwestyi zasadniczych z dziedziny filozofii natury. List otwarty dra. Henryka Levittoux do dra. J. Ochorowicza i odpowiedź. O tym artykule widzimy się w konieczności powiedzieć słów kilka.

Niekażdemu może z naszych czytelników wiadomo, że dr. Levittoux napisał dzieło p. n. Filozofija Natury, które wyszło po polsku i po francuzku i w którem autor, podług własnego przynajmniej mniemania, dalekiego od fałszywej skromności, ostatecznie rozwiązał wszystkie najważniejsze kwestye filozoficzne o Bogu, stosunku siły do materyi, o twórczości, o naturze i nieśmiertelności duszy — jednem słowem wszystkie te kwestye, których nie zdołali rozwiązać ani Lejbnic, ani Gete ani Bajron ani Newton ani Arystoteles i względem których 20 wieków (lepiej już 24, które upłynęły od Talesa do p. Levittoux) dało nam tylko zwątpienie (słowa p. Lewittoux Niwa Nr. 11 str .700). Dziwicie się czytelnicy? Żałuję was i lituję się nad wami, jeżeli się dziwicie i nie wiecie że w naszych to właśnie czasach filozofija dobiegła już swego kulminacyjnego punktu i że ostatni wyraz ludzkiej mądrości wypowiedziany już został przez pana Levittoux. Widać — zwykły to los zdumiewających odkryć — pomysły pana L. mało są jeszcze znane, pomimo że jego Filozofija Natury w obu językach podobno doczekała się kilku wydań, jak przynajmniej świadczy od czasu do czasu pojawiający się na okładkach tego wiekopomnego dzieła napis: Wydanie drugie, wydanie trzecie i t. d. Nakoniec, że filozofija pana L. mało jest komu znana, widać to najdowodniej z tego, że sam autor obecnie w Niwie zapoznaje nas z treścią swoich pomysłów, dołączając pochwalne dla nich pienia, których próbkę przytoczyliśmy powyżej.

Jakież to są owe wiekopomne i ostateczne wyniki filozofii pana L.? Przytoczymy je słowami samego filozofa, roztaczającego i polecającego w Niwie swój system. Oto materya składa się z cząstek czyli z atomów siły (to tak jak gdyby ktoś powiedział np. że grzywa końska składa się z cząstek końskiej siły); dusza jest *zjawiskiem* towarzyszącem *jako istota* (?) przemianie materyi szarej mozgu w chwili podniesienia się tej siły życia do uznania się w sobie samej lub wyrażenia się w słowie (jasne); siła przemienia się w materyę, a materya przemienia się w siłę: jest Bóg żywy w naturze nie będąc w niej zamknięty; tenże Bóg jest zredukowany do praw przyciągania i odpychania dla zmysłów naszych; natura jest Bogiem, cały świat jest Bogiem dotykalnym; człowiek przed przyjściem na świat był bogiem i wróci po śmierci ciała *na miejscu to jest w nieżywem mózgu* (?) do Boga i t. d. (Nr. 11 Niwy str. 700—702). Zdaje się że te wyniki wystarczą; widzimy z nich że system pana L. niestety nie wiele ma w sobie oryginalnego: jest to cudacki zlepek najgrubszego zmysłowego panteizmu, uznającego Boga w zmysłowych przedmiotach (który oddawna istniał w Indyach) z niektóremi hypotezami Spinozy (który przypuszczał że materya i duch muszą stanowić jedno, jako dwa atrybuta bóstwa) i z dodatkiem niektórych fizycznych danych. Jak dowodzi autor swojego systematu? Oto fakt zasadniczy, na którym opiera swoją teoryę przemiany siły w materyę, jest dla niego *palenie się świecy*, przy którem wrzekomo płomień, jako siła, przemienia się w materyalne cząstki węgla, sadzy i t. d. Słynne to palenie się świecy, o którem jeszcze przed trzema laty szeroko rozpisywał się pan L. w niektórych czasopismach, jest tedy *jedynym dowodem* fantastycznego chaosu metafizyki pana L. Zachodzi tu wprawdzie ta drobna okoliczność, że płomień świecy, według fizyki i chemii, nie jest bynajmniej siłą lecz palącym się gazem, a więc palącem się ciałem czyli materyą, ale to nic nie znaczy: sam pan L. w przypisku przyznaje tę malutką różnicę, ale że jego metafizyce koniecznie potrzebnem jest uznanie płomienia za siłę (bo inaczej usuwa się jedyna i ostatnia podstawa jego teoryi o przemianie siły w materyę), niech więc będzie płomień siłą, choć nie jest siłą. Z podobną logiką mógłbym np. utrzymywać, że trójkąt jest czworobokiem, złoto — gazem, wiatr — pucułowatym bożkiem i t. d. Dość byłoby dodać w przypisku że wiem iż tak nie jest, ale powyższe twierdzenia koniecznie są mi potrzebne do zbudowania fantastycznego gmachu teoryjek, podawanego jako ostateczny wynik mądrości ludzkiej i chwalonego, w braku innych chwalców, przez samego twórcę. Taką jest filozofija pana L. Mamy nadzieję, że chociaż, według autora, jest ona ostatecznym wynikiem ludzkiej mądrości i uwieńczeniem całego rozwoju filozofii, wszelako jeszcze i po nim filozofija istnieć nie przestanie. Dziwimy się tylko, dla czego Niwa dała u siebie przytułek tym wiekopomnym teoryom: piękna to rzecz tolerancya, ale czy nie zadaleko tym razem posunięta, gdy tylko napróżno zabiera miejsce gadanina bez żadnego niemal sensu? To już jest istotnie czcza metafizyka bezużyteczna, gdyż nasz ogół nie zdoła, niestety, pojąć, jakim to sposobem *człowiek*, po śmierci ciała, *w nieżywym mózgu* wróci do Boga. Pan Ochorowicz dodał swoje zarzuty, ale to wszystko zawiele miejsca zabiera bez pożytku: czytelnicy wybornie mogliby obejść się bez owej teoryi, pomimo tylu wydań Filozofii Natury.

Powieść Spielhagena „Ultimo" wybrane niefortunnie. Mniemamy nawet że Niwa powinna i może ob-

chodzić się bez powieści. Krótkie sprawozdania o prasie peryodycznej p. n. Informacyjna Kronika Czasopism układane są zajmująco i bez owej dawnej nieprzychylności ku wszystkiemu co nie nasze, co od naszych przekonań odmienne. Nakoniec i pod względem języka i pisowni Niwa okazuje znaczny postęp: w ogólności zwraca się tu więcej niż dawniej uwagi na czystość języka; porzucono również dobrowolnie bez sankcyi wyższych powag przyjęte dawniej zmiany w pisowni. Korekta tylko niezawsze dość staranna: szczególniej w interpunkcyi dziwna panuje dowolność i nieprawidłowość: mnóstwo wszędzie myślników, a przecinkami oddzielają nawet podmiot zdania od orzeczenia i to w bardzo wielu miejscach.

Wiemy dobrze, jak ciężką i niewdzięczną jest u nas droga czasopism poważniejszych; rozumiemy dobrze z iloma trudnościami nie wyłączając materyalnych, wypada walczyć redakcyi takich pism; wiadomo nam również jak trudno często pogodzić kierunek pisma z wymaganiami jego czytelników. Dla tego, pomimo że dalszy postęp w rozwoju Niwy jest jeszcze potrzebny i pożądany, już teraz śmiało możemy polecić to pismo naszym czytelnikom i czytelniczkom. Poparcie ze strony ogółu tu konieczne, jeżli ogół pragnie ażeby coś się stało istotnie dobrem i pożytecznem. Przyczyna i skutek, działanie i odziaływanie ściśle tu ze sobą są połączone i od siebie zależne, jak w ogóle w większej części spraw ludzkich i przedsięwzięć.

OBRAZY
na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Znajdujemy na Wystawie Sztuk pięknych parę obrazów stosownych do obecnej pory, np: *Kolędnicy* p. Maszyńskiego. Scena powtarzana uroczyście na wsi, od Bożego Narodzenia aż do dnia trzech Króli; wieczorem przed wiejską chatą, którą zima przystroiła świeżym płaszczem, i fantastycznemi rzeźbami z lodu, stanęli kolędnicy, w szczerości ducha objawiając radość z wesołej nowiny. Domorosły artysta przygrywa na skrzypkach, a chór śpiewa ochotnie: Chrystus się narodził. W chacie snać spodziewają się rokrocznych odwiedzin, bo sute łuczywo miga blaskiem przez okienko; niezawodnie kolędnicy nie odejdą bez ugoszczenia; nie pierwszą też dziś zrobili wycieczkę, bo widać że jednemu cóś nogi nie służą, i silnie opiera się o chatę, a wejrzenie zamglone zdradza, że nie pożałowano kolędnikom rozgrzewki. Prostota i swojskość mile zdobią wykonanie tego obrazu.

Przyjazd na polowanie p. Chełmońskiego, kolorytem nieba wprowadza widza w niepewność co do pory dnia: jest to świt czy wieczorny mrok? Świt zapewne, lecz to tylko wskazuje domyślność widza, nie plastyka obrazu. Sąsiedzi zaproszeni na ulubioną rozrywkę, zajeżdżają przed ganek, prawdopodobnie litewskiego dworku, więc powitania, ruch i krzątanie się z końmi i bronią. Szkoda jednak że artysta nie wlał więcej życia w postacie; typy myśliwców litewskich są tak zajmujące, twarze wąsate, ogorzałe, rozpromienione nadzieją łowów, mogłyby być nadzwyczaj sympatyczną stroną i podnoszącą charakterystykę obrazu.

Kościół wiejski p. Szembeka nie może zadowolić nawet amatorów sielskości. Ubóstwo architektury, jest zgodne z prawdą, drzewa ogołocone z zieleni jesiennych powiewem, lud gwarzący, to wszystko dobre; lecz jakim sposobem dzieje się, że wózek który zastępuje miejsce żłobu, dla wyprzęgniętych koni, stoi tuż pod ścianą kościoła, a krzyż zielony, opiera się nieledwie na drzwiach świątyni. Brak tu perspektywy rażący, i zastanowienia, że wiejskie kościoły są zawsze otoczone cmentarzem poświęcanym, w obręb którego nigdy nie zajeżdżają wozy, i nie wkracza inwentarz, chyba przypadkowo. Skromne wiejskie kościoły, dzwonnice pochyłe wiekiem i omszone, pobożni przedstawiający nieraz mięszaninę rzewnych objawów wiary i komicznych rysów zaściankowego obyczaju, to wszystko materyał do bardzo wdzięcznego rodzajowego obrazu, którego artysta tym razem nie spożytkował należycie.

Ze sfery sielskości i zimowych krajobrazów, przejdziemy do pięknego saloniku, gdzie młoda i strojna dama, pozuje rysującemu zapewne jej portret artyście. Obrazek ten zatytułował p. Mirecki jako: *Niebezpieczny*. Nie podzielamy jednak tej obawy patrząc na niewinne i niewyraziste oblicze młodziutkiego adepta sztuki. Siedzi on sobie łagodnie i potulnie, wyglądając raczej na pazia damy, niż na artystę, a tymbardziej *niebezpiecznego!* Zdaniem naszem, niebezpieczeństwo nie grozi tym dwojgu, a raczej artyście, który zwykle popada w przesadną manierę.

Bez tytułu p. Maleszewskiego, przedstawia młodą kobietę w czarnej sukni, spoczywającą z niedbałym wdziękiem na kanapce, z książką którą czyta. Otoczenie wykwintne, całość obrobiona z talentem właściwym naszemu artyście, ale myśli — próżno się szuka... nie ma tytułu, nie ma i treści. Udatna to robota ale nic więcej.

Ale za to prześliczny portret damy naturalnej wielkości, przekonywa nas, że p. Maleszewski, nawet i ręce maluje bez zarzutu.

Przeczuwana noc p. Maszyńskiego, jest niby ilustracyą do dramatu tak często powtarzającego się w życiu. Na poddaszu, przy otwartem okienku przez które świt się przedziera, siedzi młoda kobieta, przed nią stolik zarzucony przyborami do szycia, niewykończona balowa suknia, obstalunek pożądany dla ubogiej pracownicy; obok stoi kolebka ze śpiącem dziecięciem. Dla niego to młoda matka poświęca swoje zdrowie i siły: czuwała noc całą aby zarobić własnemi rękami na wyżywienie ukochanego maleństwa. Nad ranem, sen przemógł postanowienie wytrwałości; zmęczona głowa wsparła się na chwilę o ścianę, zadrzemała biedna robotnica, lecz myśl jej i uczucie zawsze krąży nad uśpioną dzieciną. Dłoń jej dotyka się kolebki, wskazując cel jej starania i miłości. Lampa mdławym blaskiem oświetla ten skromny pokoik, zielone sploty bluszczu zdobią go, niby symbol młodości, która najsmutniejsze warunki zabarwia jeszcze krasą nadziei. Widz odchodzi wzruszony i pełen współczucia dla młodej matki, lecz oceniając myśl, nie może pominąć urazy do artysty, dla czego obie twarze, a szczególniej dziecięcia, wymalował tak niewyraźne i martwe?

Głowa staruszki XVI wieku p. Piątkowskiego, jako studyum zasługuje na uwagę. Znać staranie pracę ale i potrzebę pracy jak największą. Życzymy młodemu artyście aby ją poślubił, bo talent jest, tylko nie rozwinięty!

P. Horowitza, *Portret damy*, drugi mężczyzny w ubiorze wojskowym, odznaczają się prawdą kolorytu, wykończeniem i życiem.

Wjazd do miasta p. Kowalskiego, jest dosyć niewdzięcznym przedmiotem. Austerya oświetlona, powóz podróżny, niebo zasiane gwiazdami ot i wszystko! Obrazek mały rozmiarem i treścią.

W samotności p. Heymanna, zasługuje na też same a silniejsze jeszcze zarzuty. Pod drzewami stoi panienka modnie ustrojona... i stoi, ale dla czego nikt nie odgadnie. Postawa sztuczna, drzewa sztuczne, słowem sztuki dosyć, ale prawdy mało. *Es.*

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani Modeście H. w Zamszanie. Za list tak obszerny i tak żywo zajmujący się literaturą peryodyczną, bardzo jesteśmy wdzięczni, tym więcej, że starania nasze i baczność właściwie ocenione zostały. List ten przeczytamy komu należy; młodym wiele wybaczyć trzeba, zwłaszcza że redakcya pisma o którem w liście mowa zmieniła zupełnie swoje dążności Co do autorki i ta bardzo młoda jeszcze, więc i u niej w myślach i pojęciach jeszcze chaos nie uporządkowany. Uwagi redaktorów odpowiednie byłyby dla niej bardzo zbawienne, ale jeżeli i autorka i redaktor bardzo młodzi, to któż tu miał komu radzić i czynić uwagi?

Pani Karolinie U. w Stawiszczach. Dzieło: Żywot Św. Cecylii, o którem wspomina w liście swem Kraszewski, może być sprowadzone z zagranicy przez którąkolwiek Księgarnię Warszawską. W polskim języku nie ma dzieła tego wydanego. Za przychylne dla nas wyrażenia wielce jesteśmy obowiązani, ale to obowiązek, nic więcej tylko prosta powinność.

Pani Olimpii Mę: Nuty wyczerpnięte — trzebaby je sprowadzić z zagranicy, lecz to potrwa kilka tygodni.

Pani Indry: Książki o jakie się Pani zapytywała, znajdują się w każdej Księgarni.

Pani Paszkow: z Permskiej gubernii na stacyi Aczyt. Do sprawunku dołożono kop. 50.

Panu Han: w Żytomierzu. Ogłoszenia dajemy w Tygodniku za osobną opłatą.

Przyjaciela Dzieci Nr 5 wyszedł z druku i zawiera:

Ambroży Grabowski (z drzeworytem).— Poezya i Przyjaźń komedyjka w 2-ch aktach (dokończenie).—Choinka (wiersz). — Wyspa Tajemnicza pr. Juliussa Wernes. — Cuda Oceanu.—Odpowiedzi od Redakcyi.— Szarada. — Zagadka. — Objaśnienia Szarad.—Objaśnienie Zagadki.— Rozwiązanie zadania arytmetycznego. — w Dodatku: Ponczki. — Bawcie się (wiersz). — Koń. — Piąta klepka (wiersz). — Zuch nad zuchami. — Filut (wiersz). — Oddychanie. — Dobry Kazio (wiersz).— Bałwan ze śniegu (z drzeworytem).

Prenumerata kwartalnie wynosi:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**. *Ulica Żabia Nr. 956.*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

O UBIORACH.

W dzisiejszym sprawozdaniu postanowiliśmy donieść naszym czytelniczkom o wszystkiem pokrótce, co się dotycze domowego, spacerowego, wizytowego i balowego ubrania. Wiadomości te są dopełnieniem do rycin i modeli jakie Tygodnik Mód podaje.

Nie będziemy wypisywać tu całego szeregu nazw modnych materyjałów na suknie domowe lub wizytowe, i kolorów obecnie najwięcej używanych, gdyż w każdym magazynie podadzą nam je do wyboru, dodamy tylko iż między strojem domowem a wizytowem ubraniem bardzo małe są różnice, zachodzące tylko w efektownych dodatkach toaletowych. I tak: przy pięknym kołnierzyku z żabotem, krezie, lub kamizelce aksamitnej, albo jedwabnej, z dodaniem modnego medalijonu lub broszy, przypiąwszy gustowną kokardę do włosów, możemy w przeciągu kilku chwil zamienić suknię domową; w ubranie zupełnie odpowiednie na wizytę.

Staniki z baskinami ciągle utrzymują się w modzie tylko z coraz nowemi odmianami w długości, kroju lub sfałdowaniu baskiny. Do najmodniejszych zaliczają się staniki zwane pancerzowe, zupełnie obciskające figurę i wzdłuż przodu zapięte na guziki. Stanik taki, przedstawia w N-rze 6 Tygodnika rycina 7 i 8, na figurach szczupłych w miejsce guzików mogą być dane kokardy, a na jednej połowie przodów stanika dodaje się mała kieszonka na zegarek. W stanikach pancerzowych dla większej elegancyi, napierśnik i rękawy odszyte są z aksamitu lub atłasu, do sukni jedwabnej lub też wełnianej, naszywają się suto perełkami.

Dla ochrony trenów przy jasnych jedwabnych sukniach, które ocierając się o posadzkę niszczą i tracą kolor, weszło w użycie podszywanie od spodu sukni plisowanego, lub w kontrafałdy układanego wolantu, z białego muślinu, oszytego koroneczką lub haftem. Oszczędne i praktyczne osoby przyszywają wolanty tak szerokie, iż dostateczną jest przy nich biała spódnica wcale nie powłóczysta. W razie konieczności przejścia piechotą, unosi się tylko suknię zwierzchnią z podszytym wolantem, odsłaniając spódniczkę sięgającą tylko do ziemi.

W garnirowaniu sukien wizytowych, mniej lub więcej strojnych, ciągle taż sama co i dawniej panuje rozmaitość; uważaliśmy, iż kosztownych sukien nie obciążają obecnie w około mnóstwem wolantów, buf, plis i kokard. Po większej części tylko z przodu albo na tylnych brytach od dołu dane jest przybranie, od góry zaś dodana fartuszkowa tunika z szarfą; tylne bryty ułożone są w wachlarzową fałdę, rozkładającą się wspaniale u dołu trenu. Naszywanie kokard wzdłuż takiej fałdy uważamy za niestosowne i zbyteczne.

Dość upowszechniającą się nowością stanowią małe ozdobnie wykończone kieszonki, z tego co suknia lub odmiennego materyjału, zawieszone krótko przy pasku, spuszczone długo na wstążce, albo też podpinające tunikę. Tygodnik Mód w zeszłorocznych N-rach podawał dużo modeli takich kieszonek między innemi kieszonkę pokrytą z wierzchu kwiatami, odpowiednią do balowego ubrania.

Do przybrania strojnych sukien jedwabnych, przy balowych toaletach, stały się niezmiernie modne strusie pióra we wszystkich kolorach, układane w riusze które naszywają się w około tunik, nad wolantem koronkowym na sukni i przy wykroju dekoltowanego stanika. Oprócz piór piękne i kosztowne przybranie stanowią pelami i jedwabiami wypukło haftowane girlandy kwiatów, w najrozmaitszych naturalnych barwach i odcieniach, wycinane podług kształtu kwiatów i dające aplikować się nawet na lekkich materyjałach.

Do ozdoby skromnych sukien, a także okryć, staniczków i kamizelek ciągle używane są perełki dżetowe, czarne lub stalowe szmelcowane mieniące się w szafirową barwę. Białe szlifowane perełki naszyte na koronce, gazie, tiulu czy illuzyi, nadają świetny połysk balowym garnirunkom. Przy okryciach modne są bogate sznury i pasmanteryje jedwabne.

W bižuteryjach taż rozmaitość, to samo bogactwo wyboru co i w innych ozdobach toaletowych. Używane są zarówno kosztowne kamienie i złoto jak dżetowe wyroby, pięknie z kolorowych porcelanowych kwiatów garnitury szlifowana stal, korale perły i t. p.

W przybraniu szyi przy wyciętych stanikach dozwolona jest wszelka fantazyja, to też osobisty gust i umiejętność zarówno w tem jak i w przybraniu głowy wielką gra rolę. I tak: zawiązują kolorowe wstążki na szyi, zakończając kokardą z przodu, z pod której spada krzyż, medalijon lub gałązka kwiatów, to znów gładko otoczona wstążka, lub aksamitka, spadająca z tyłu w dwóch końcach, przepina się broszą, strzałą lub klamrą fantazyjną.

Noszą też bogate łańcuchy złote z medaljonami; naszyjniki opatrzone w około wisiadełkami, perły, korale lub t. p. spadające w sznurkach stopniowej długości. Ładnie także zdobi szyję czarna aksamitka, ozdobiona gwiazdkami, grelotkami, czy przepięciami świecącemi i t. p.

Do przyozdobienia głowy modne są pióra, kwiaty, klamry, djademy, perły, wstążki i t. p.

Sztuka w wyrabianiu kwiatów stara się usilnie dorównać naturze i naśladuje jej wzory. Balowe toalety można bardzo efektownie przystrajać kwiatami, to też nie tylko podpinają i przepinają bufy tunik lub garnirunków, otaczają wykrój stanika, ale moda pozwala nawet nad wolantem sukni i brzegiem tuniki rozpiąć gałązki kwiatów.

Do głowy używają pojedyńczo wpinanych kwiatów, gałązek mniej lub więcej długich, dla młodych osób modne są okrągłe wianeczki, które szczególnie ładnie przedstawiają się po nad lokami. Mężatki mieszają kwiaty i pióra, lub perły w długich sznurach, kosztowne śpilki i przepięcia; czasem nawet przeprowadzają fantazyjnie sznury pereł od głowy aż na szyję, ale do tego rodzaju upięcia potrzeba bardzo wprawnej ręki i wyrobionego gustu, aby nie popaść w wymuszoną pretensyjonalność.

Do wieczorowego ubrania, do teatru lub na koncert najodpowiedniejsze okrycie stanowi płaszczyk biały kaszmirowy oszyty szeroką jedwabną plisą i ozdobiony kapturkiem lub kokardą Do jedwabnych okryć używają na oszycie puszek łabędzi lub pióra. Do ubrania spacerowego paryżanki wprowadziły znowu w modę kilkołokciowe boa futrzane które po dwukrotnem otoczeniu szyi spada aż do kolan.

Na zakończenie dodamy jeszcze iż rękawiczki przy ubraniach spacerowych i wizytowych noszą w odpowiednim kolorze o dwóch lub trzech guziczkach, rękawiczki balowe liczą po sześć guziczków. Buciki do sukien wieczorowych noszą wysokie jedwabne, koloru sukni, do balowego ubrania modne są wycięte trzewiczki z sutą kokardą.



N. 1—4. Ubrania domowe.

N. 1. Ubranie z fartuszkową tuniką dla dziewczynki. N. 4. Ubranie kilkoletniej dziewczynki. N. 2—3. Ranne ubranie formą princesse z paskiem i karoczkiem.

Opis do N. 4.

(Dokończenie).

N. 26—28. Kołnierzyk i rękawek. Irlandzka koronka i haft.

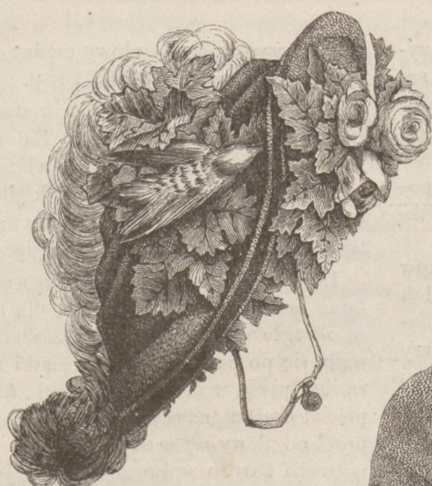
Kołnierzyk batystowy ułożony jest w kontrafałdy i ma maleńkie wykładane rożki. Na środku każdej fałdy wyhaftowany atłaskiem kwiateczek lub gwiazda, jak to wskazuje w naturalnej wielkości ryc. 28. Potrzeba pamiętać haftując kwiatki na rogach, aby po wyłożeniu wypadły na dobrą stronę. Przewiązanie i kokarda są z materyi i aksamitu, na końcach spuszczone końce z batystu i koronki irlandzkiej. N. 27 przedstawia odpowiedni rękawek.

N. 29. Ubranie z długą poloneczką.

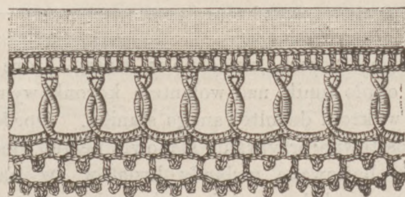
Czarny wełniany materyjał w paski białe zwany *Cheviot* użyty jest na polonezkę zapinaną na guziki, na którą odpowiedni krój znajdą czytelniczki w zeszłorocznych formach. Stanik powinien być lekko podwatowany lub podszyty flanelą. Brzegi okrycia paletotowego mankietów na rękawach i brzegi kieszonek, naszytych oryginalnie na podpięciach z boków przestębnowane są jedwabiem. Guziki po 3 cent. średnicy mające są z konchy perłowej. Suknia z ciemnej materyi wełnianej, przybrana jest dwoma szerokiemi wolantami, z których wyższy ma kilka razy przemarszczony nagłówek.

N. 30. Grzebień z kwiatami.

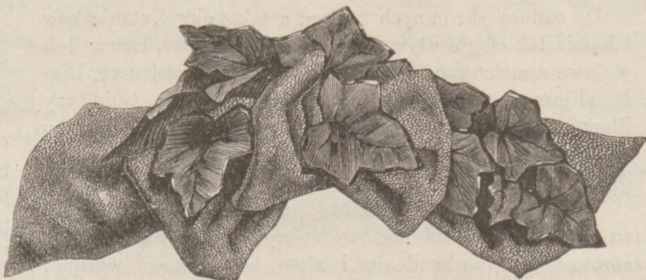
Oryginalne lecz bardzo ładne dla młodych osób przybranie głowy, stanowi grzebień z kwiatami, załączony na rycinie 30. W tym celu kupuje się tani, prosty grzebień rogowy z płaskim, wązkim brzegiem i do niego przyszywa kwiaty ułożone poprzednio na podstawie ze sztywnego tiulu. Fantazyjny układ kwiatów widać z ryciny.



N. 6. Kapelusz z rondem wywiniętem z przodu.



N. 5. Szydełkowa koroneczka ze sznureczkiem.



N. 8. Kokarda do głowy.



N. 7. Kapelusz z rondem podniesionem z boku.

sztowne przybranie, stanowią nad koronkami naszyte suto fryzowane kolorowe pióra. W miejsce piór można użyć riusz z siepanej materyi lub fularu co także lekko i efektownie wygląda.

N. 31—32. Stanik z baskiną i marszczonemi rękawami.

Ryciny 31—32 przedstawiają przód i plecy ładnego stanika z szerokim, kwadratowym wykrojem, od sukni z jasnej jedwabnej materyi, z wachlarzową fałdą z tyłu i fartuszkową tuniką. Rękawy sięgające do łokcia, dalej dopełnione sutą, marszczoną falbaną są marszczone w całej długości. Podszewka pod rękawy dopasowana jest gładko, na niej dana materyja na szwach mocno nadmarszczona i podnosząca się w bufę. Do przybrania wykroju i rękawów używa się tiul, illuzyja, krepa lub nawet tarlatan. Przy riuszach lub plisowaniu z illuzyi, ślicznie odbijają naszyte brzegiem białe szlifowane perełki.

Jeżeli chcemy całą toaletę zrobić strojniejszą w ówczas na sukni i wkoło tuniki trzeba dodać wodę i plisowanie z lekkiego materyjału użytego do przybrania stanika. Najmodniejsze, prześliczne, lecz zarazem bardzo ko-



N. 9. Płaszczyk watowany z pelerynką dla dziewczynki. Krój i deseń w dodatku N. X, Fig. 48—53.

Opis do N. 5.

N. 1. Suknia z tuniką fartuszkową dla małej panienki. Krój jak do ryc. 14—15.

Wełniana sukienka z plisowanym garnirunkiem, może być odrobiona z dwóch cieni jednego koloru, albo w dwóch stosownie dobranych kolorach, lub nawet z dwóch zupełnie różnych materyjałów, jak n. p. z aksamitu i materyi, lub materyi i wełnianego wyrobu. Sposób naszycia plisowania widoczny jest na ryc. 1. Stanik nakształt pancerza, dopasować można podług każdej dobrej formy z baskiną. n. p. podług ryc. 14 i 15. Tunikę fartuszkową kraje się podług formy podanej dla osób dorosłych, tylko zmniejszoną stosownie do wzrostu i miary. Plisowanie z jasnym środkowym pasem, ma przy spódnicy całej szerokości 26 centymetrów.



N. 10. Kurtka dla chłopczyka lat 8—12. Przód do ryc. 11. Patrz ryciny 12—13. Krój w dodatku N. III, Fig. 23—27.



N. 14. Suknia z tuniką otwartą z przodu. Plecy do ryc. 15. Krój w dodatku N. II, Fig. 13—10.



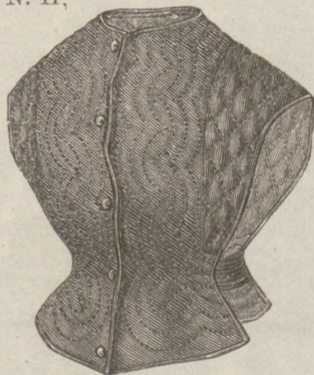
N. 12. Kamizelka do garnituru ryc. 10—13. Krój w dodatku N. III, Fig. 21—23.



N. 14. Suknia z tuniką otwartą z przodu dla panienki lat 11—14. Krój w dodatku N. II, F. 13—19.



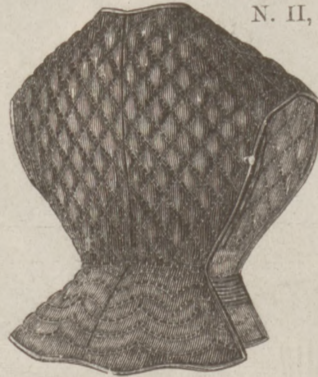
N. 11. Kurtka dla chłopczyka lat 8—12. Plecy do ryc. 10. Patrz rycina 12—13.



N. 16. Kamizelka pikowana. Przód do ryc. 17. Krój w dodatku N. VII, Fig. 43—44.



N. 13. Majtki odpowiednie do ryc. 10—12. Krój w dodatku N. III, Fig. 20.

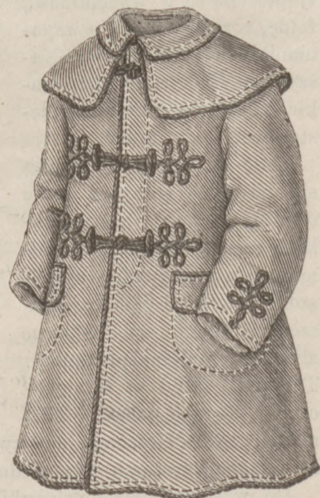


N. 17. Kamizelka pikowana. Plecy do ryc. 15.



N. 18. Paletocik z krótką pelerynką dla chłopczyka lat 4—6. Plecy do ryc. 19. Krój w dod. N. XI, F. 54—57-a.

N. 20. Szlak do wyszycia na kanwie lub siatce.



N. 19. Paletocik z krótką pelerynką dla chłopczyka lat 4—7. Przod do ryc. 18.

N. 2—3. Ubranie negliżowe formą „Princesse" z kароczkiem przyszytym do paska. Krój N. I Fig. 1—12. Zobaczyć ryc. 20—21 w N. 6 Tygodnika.

Na ryc. 2—3 oraz 20 i 21 w N. 6, podajemy modele, i formy które zarówno użyte być mogą na suknię do rannego ubrania lub na vêtement do innej sukni. Ma się rozumieć że w tym ostatniem zastosowaniu, długość i szerokość dolna musi być stosownie zmniejszona. Praktyczny, zręczny i świeży rodzaj podpięcia sukni lub vêtement, stanowią patki przyszyte do paska i opatrzone dziurkami, na które krócej lub dłużej podpiąć można spódnicę za pomocą guzika widocznego na ryc. 3 i 20. Tak suknia jak i vêtement, mogą być tylko przepasane paskiem z karoczkiem, lub można do nich dodać kaftaniczek bez rękawów (jaki przedstawia rycina 21 w N. 6) w takim razie pasek bez karoczka zapina się z przodu pod kaftaniczkiem, a stanik zastępuje kamizelkę. Ryc. 2 przedstawia z przodu suknię perłowego koloru, przybraną kolorem niebieskim; ryc. 3 podaje z tyłu suknię popielatą w kropki białe i czarne, przybraną plisami z sukna szafirowego i guzikami białemi, rogowemi. Vêtement na ryc. 20 jest w kratę białą z czarnem, kaftaniczek i plisy są z sukna granatowego koloru, a guziki z konchy perłowej. Kolory te można jednak zmieniać dowolnie, lecz materjał najwłaściwszy jest mięsisty i nie cienki.

Tak przy patkach kieszonkowych, jak i przy kaftaniczku fałszywe dziurki oznaczone są wąziutką, stębnowaną pliską. Plisy przy sukni i staniku mają od 2 do $4^1/_2$ cent. szerokości. Patki do podpięcia spódnicy, przyszyte w środku do pasa, są 37 cent. długie a $4^1/_2$ szerokie, w końcach obrobione są po dwie dziurki do podpinania; w środku dodane trzecie dziurki służące do zapinania razem patek do paska wązkiego, 6 cent. długiego, przyszytego od spodu pod patkami, i zakończonego guzikiem, który służy do skrócenia patek i ułożenia w rodzaj garnirunku, w razie gdy suknia lub vêtement ma być nie podpięte. Brakującą na formie długość i szerokość spódnicy, trzeba od dołu podług miary dopełnić.



N. 24. Listek skórzany do gwoździka ryc. 23.



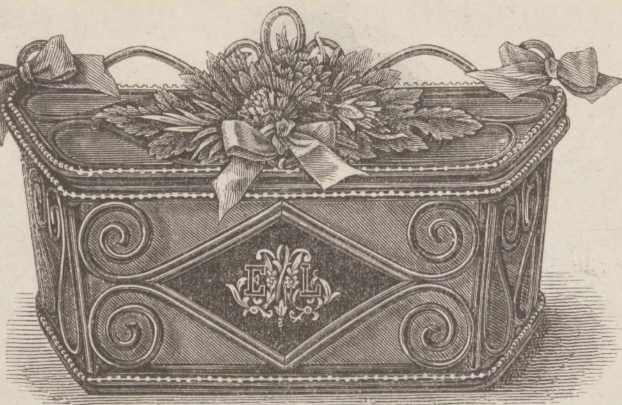
N. 21. Barbka koronkowa upięta przy czółku aksamitnem.

N. 4. Ubranie małej dziewczynki.

Sukienka z przodu na dwa rzędy guzików zapinana, u dołu skośnym napowietrznym wolantem oszyta, jest z angielskiego półaksamitu. Spódniczkę z przodu przyszywa się gładko do stanika, a z tyłu układa w fałdy; szarfa szeroka z kolorowej materyi, wiąże się z boku na węzeł. Wykrój szyi i rękawki oszyte riuszą z pół aksamitu i podgarnirowane falbanką muślinową.

N. 5. Koronka szydełkowa ze sznureczkiem okręcanym w kształcie ziarnek jęczmienia.

Nowy rodzaj szmuklerskiego sznureczka, który użyty był do wstawki ryc. 21—22 w N. 3 Tygodnika, tutaj przewijany jest w ten sposób, iż ziarenka tworzą dwa listki złączone w górze pętelką i stykają się z sobą u dołu. U góry koronka obrobiona jest na przemian, 5 o. powietrznemi i 3 o. ścisłemi, dawanemi w każdą pętelki sznureczka, a w drugim rzędzie słupkami przedzielanem o. powietrznemi. W pierwszem obrobieniu od dołu, daje się 8 o. śc. w każdy ząb sznureczka, dwa następne składają się ze sł. pikotów i o. powietrznych.



N. 22. Kosz z trzciny ozdobiony kwiatami skórzanemi i haftowanym medaljonem. Krój goździka w dodatku N. IV, Fig. 28-a—28-d. Patrz 83—26.



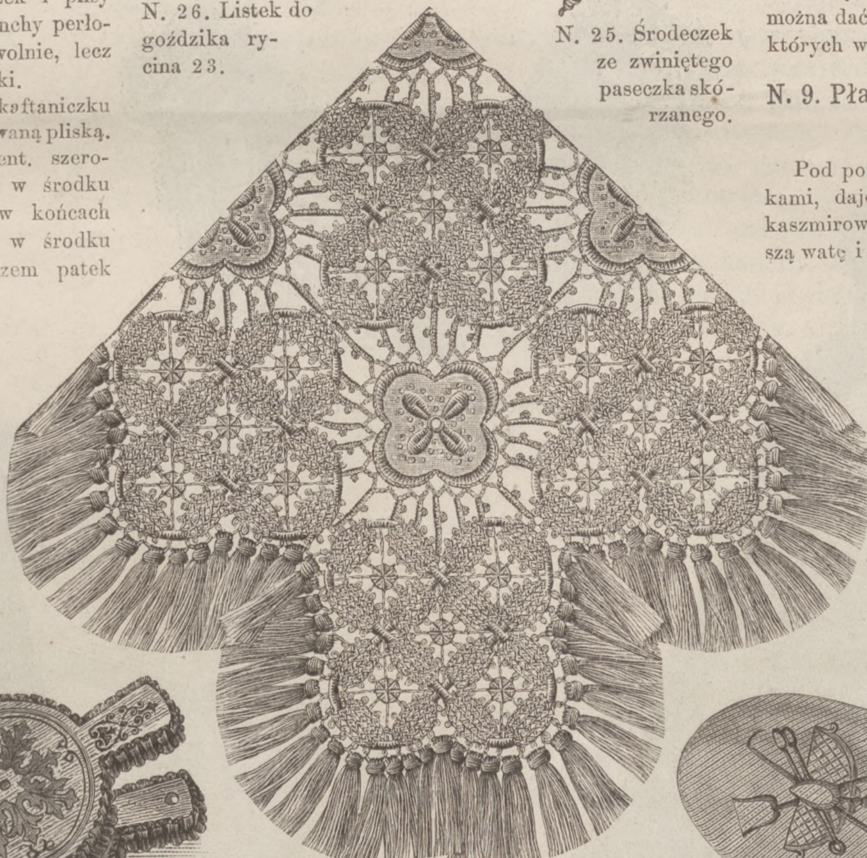
N. 23. Medaljon z kwiatów skórzanych do ryc. 22. Krój w dodatku N. IV, Fig. 28-a—28-d. Patrz ryc. 24 26.



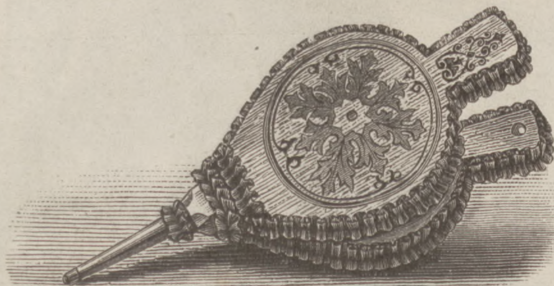
N. 26. Listek do goździka rycina 23.



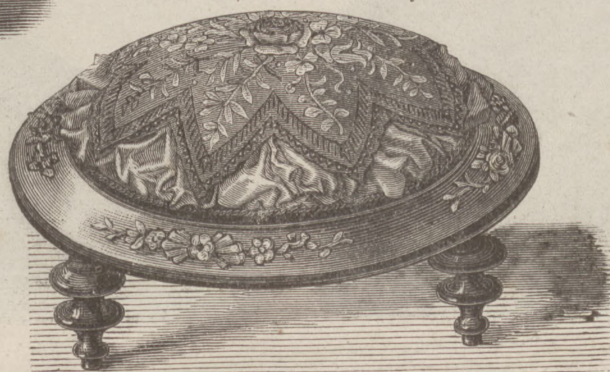
N. 25. Środeczek ze zwiniętego paseczka skórzanego.



N. 29. Kwadraty do małych serwetek. Koronka irlandzka, haft i robota szydełkowa.



N. 30. Mieszek ozdobiony malowaniem na drzewie. Deseń w dodatku Fig. 29-a—29-b.



N. 32. Okrągły stoleczek pod nogi. Haft i aplikacyja z kretonu. Deseń w dodatku Fig. 31.

N. 6. Kapelusz aksamitny z rondem z przodu w górę podniesionem i suto podpiętem kwiatami.

N. 7. Kapelusz filcowy z rondem z boków odwiniętem, ubrany aksamitem i piórami.



N. 28. Wierzch ubranka podanego na ryc. 27.



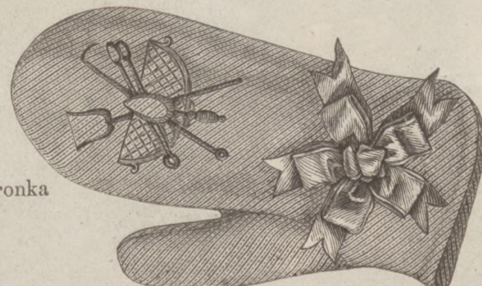
N. 27. Ubranko wizytowe z riuszy blondynowej. Patrz ryc. 27.

N. 8. Kokarda do głowy.

Na kokardę ozdobioną liśćmi bluszczu jesiennego koloru, potrzeba skośnego kawałka pąsowego aksamitu, obrębionego od spodu, mającego 9 cent. szer. a 57 długości, końce są 17 i 15 cent. długie. W miejsce jedwabnych, można dać gałązkę liści wyszytych na tiulu perełkami, których wzory zamieszczamy na Fig. 62—63.

N. 9. Płaszczyk watowany dla małej dziewczynki. Krój N. X, Fig. 48—53.

Pod popielaty sukienny płaszczyk z peleryną i rękawkami, daje się watowaną, w maszynie pikowaną, pąsową kaszmirową podszewkę; w rękawy u dołu bierze się cieńszą watę i zaszywa elastykę, ażeby przystawały do ręki. Pelerynę bez podszewki wyszywa się sutaszem, a pod brzeg wycięty w ząbki w maszynie, dodaje się od spodu podłożoną, z wierzchu przestębnowaną listewkę z ciemniejszego sukna, której brzeg w ząbki wycięty, tylko na 2 cent. wystawać powinien. Wykrój pod szyją wraz z peleryną wszyty jest do stojącego kołnierza z ciemniejszego sukna; takimże suknem objęte są guziki do zapinania płaszczyka z przodu.

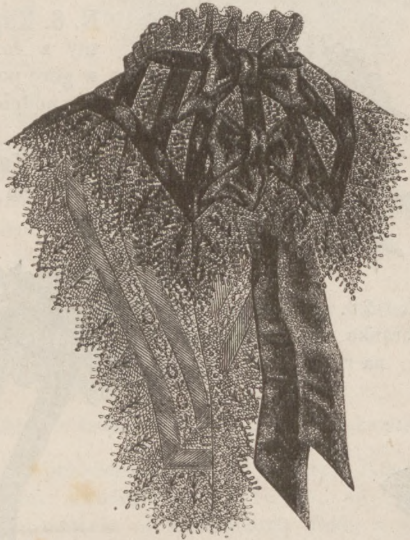


N. 31. Rękawiczka do poprawiania ognia na kominkach. Krój i deseń w dodatku N. XIII. Fig. 60—61.

N. 10—13. Majtki, kamizelka i kurtka, dla chłopczyka od lat 8—12. Krój N. VII Fig. 20—27.

Całe powyższe ubranie odrobione było z granatowego sukienka, podszewkę w górze u majtek i kieszenie daje się z białego kartonu, listewkę do guzików, podszywa czarnym lastyngiem, a nogawice u dołu, na 10 cent. szerokie, skośnie krajanym, popielatym kitajem. Tak pod guziki jak i w 3 cent. szer. a 14 cent. długie paski do

majtek, zapinane na sprzączkę, daje się pomiędzy sukno i podszewkę, mocne płótno. Pod przody kamizelki podług Fig. 21—33 przykrojone, daje się biały karton, a pod dziurki i guziki, oprócz tego listewki dość szerokie sukienne: plecy są z czarnego lastyngu podszyte kartonem. Plecy u kurtki są bez podszewki, pod przody daje się czarny lastyng, przykryty na 9 cent. szer. takim jak wierzch materyjałem; otwory kieszonek z przodu i przy połach z tyłu



N. 33. Chusteczka koronkowa wyszyta perełkami. Plecy do ryc. 34. Krój w dodatku N. III, Fig. 45.

zasłonięte są klapkami, przykrojonemi podług Figury 23 i 25. Tak klapki jak patki przy rękawach, oraz brzegi kurtki i kamizelki, objęte są szeroką plecioną, wełnianą taśmą. Guziki czarne szmuklerskie.

N. 14—15. Suknia z tuniką dla panienki od lat 11—14. Krój N. II, Fig. 13—19.

Ryc. 14 i 15 przedstawia z tyłu i z przodu, szafirową wełnianą suknię z dwoma odmiennemi rodzajami garnirunku. Stanik bez baskiny kraje się podług Fig. 13—15, długość stanu dokładnie dopasowana być musi podług figury. Miarę tunik podajemy na zmniejszonym rysunku Fig. 19; do podpięcia służą tasiemki 9 cent. długie przyszyte od spodu, do paska i tuniki, a następnie związane w sposób wskazany na ryc. 14. Podwójny na środku przecinany karoczek podszywa się sztywnym muślinem, obejmuje pliskę, fałduje, układa jedno na drugiem i razem przyszywa do paska. Większe



N. 34. Chusteczka koronkowa wyszyta perełkami. Przód do ryc. 33.

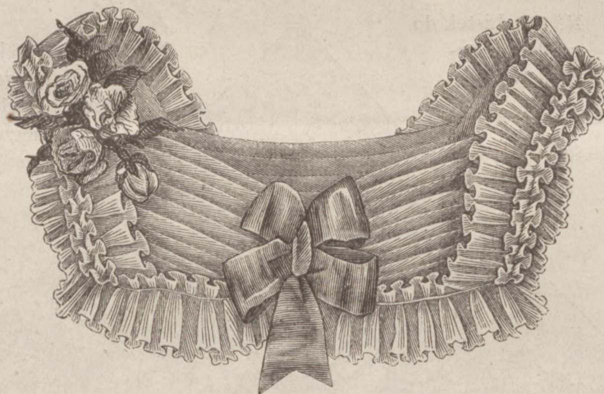
przykrywa się podług fig. 18, zwierzchnie mniejsze podług oznaczonej na tejże linii. Plisowanie przyszyte podwójną pliską, przy tunice i staniku, ma 5 cent, a przy spódnicy $6\frac{1}{2}$ cent. szerokości; wolant skośny mało nadmarszczony, jest 13 cent. szeroki.

Suknia na ryc. 14 przybrana jest plisami z materyjału w paski szafirowe z białem lub popielatem.

(d. c. n.)



N. 35. Ubranie z vêtement otwartem z przodu.



N. 36. Berta gorsecikowa. Krój w dodatku N. IX, Fig. 46—47.



N. 37. Ubranie z kamizelkowym stanikiem i otwartą z przodu wierzchnią suknią z trenem.



N. 38. Ubranie z wyciętym stanikiem i podpinaną tuniką z trenem.